Rok X. — Tom V. — Zeszyt 2

MODERATOR

DWUMIESIĘCZNIK
przeznaczony dla Księży Kierowników i Zarządów Sodalicji Mariańskich

Kurs Księży Moderatorów Szkół Średnich

Kwiecień — czerwiec 1938

Wydawnictwo Księży Jezuitów, Warszawa, ul. Rakowiecka L. 61

MODERATOR

wychodzi jako
DWUMIESIĘCZNIK
z wyjątkiem ferii letnich.

PRENUMERATA ROCZNA
wynosi w kraju 4·— zł, za granicą 6·— zł. Obecny numer 1·50 zł

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA, ULICA RAKOWIECKA L. 61
DOM WYDAWNICTW KSIĘŻY JEZUITÓW

Wszelkie zatem sprawy dotyczące Redakcji, korespondencje, artykuły do „Moderatora" itp. oraz sprawy administracyjne: zamówienia, regulowanie prenumeraty, reklamacje itp. należy kierować pod tym adresem.

TREŚĆ ZESZYTU:

REDAKTOR: *Ks. Władysław Rejowicz T. J.*

Problem niemoralności.

Hedonizm czy jansenizm?

(Odczyt).[1])

Że namiętność ciała wypełnia po brzegi dzieje ludzkości we wszystkich wiekach i na łonie wszelkich kultur, to fakt zbyt oczywisty, by go stwierdzać uczonymi dowodami.

Dzisiejszy rozkład moralny wśród tak zwanych ludów dzikich jest dla etnologa pewnikiem, jak pewnikiem jest również, iż właśnie w miarę rozwoju materialnej kultury rozluźniły się więzy pierwotnej, nieraz bardzo ścisłej i surowej moralności.

Komunałem jest już dziś twierdzenie, iż potężne cywilizacje Wschodu, babilońska, egipska, czy zachodnia grecko-rzymska upadły i rozsypały się w gruzy nie tyle pod naporem ościennych najazdów, ile raczej wskutek moralnego rozkładu, oraz straszliwego wyuzdania. Jego historię zamknął Krasiński w krótkim aforyzmie: bogi i ludzie szaleją. Symbolem tego rozkładu chyba aż nazbyt wymownym to zakulisowe życie Olimpu, to ubóstwienie namiętności nazwane Astartą, Afrodytą czy Wenerą.

Na usługi zdemoralizowanej religii stworzył pogański świat apologetykę filozoficznego systemu. Epikureizm i hedonizm deklasując metafizykę bytu wytyczyły mędrcom starzejącego się grecko-rzymskiego świata przyziemne cele rozkoszy. Filozofia rozkoszy, — dozowanej i ograniczanej jedynie troską, by nad-

---

[1]) Odczyt ten można nabyć w Wydawnictwie Księży Jezuitów. Warszawa, ul. Rakowiecka 61 w oddzielnej odbitce. Cena egzempl. 30 groszy.

użyciem nie stępić odczucia, stała się odtąd symbolem i wykładnikiem dekadencji ducha.

Prawdziwym mędrcem był ten, kto w złotych czarach spijał falerneńskie wina, skroń wieńczył upojnym aromatem róż, nasycał się wdziękiem sprowadzanych ze Wschodu Eunice, powolnych na wszelkie eksperymenty, zachwalanych przez Owidiusza *remedia amoris*. Mędrcem hedonizmu był ten, kto posiadał luksusowe termy, nudę sycił w bankietach Lukulla a podrażnienia zblazowanych nerwów szukał we krwi niewolników i niewolnic.

Evoe Bacche!

Nawet historia narodu wybranego, monoteistycznego Izraela, raz po raz zapada w trzęsawisko zwyrodnienia i występku, a choć rygory moralności nie były tak wielkie, wstrząsające upadki Samsonów, Dawidów czy Salomonów pozwalają się domyślać, co działo się w tłumie.

O nauce Mahometa, jego haremach czy mirażu rajskich hurysek nie ma co wspominać. Dzieje buddyzmu aż nazbyt jaskrawie ilustrują zepsucie, panujące w lamazeriach, boć chyba klasztory powinny być wykładnikiem czystości danej religii. Hinduizm ma swoje zenany, swą faloforię, swe orgiastyczne tancerki w świątyniach — a na czole swych adeptów maluje aż nazbyt przejrzysty symbol moralnego wyuzdania.

Pozostaje chrystianizm, religia, która w swych zasadach, głoszonych przez Boga-człowieka nie zna kompromisów z występkiem, apoteozuje czystość a w swych bohaterach wznosi się na wyżyny heroicznego, nadludzkiego wprost zaparcia się i przełamania tego co ludzkie, zmysłowe.

Równolegle jednak opodal, prawie że u stóp krzyża płynie ten sam nurt potężnej namiętności, rozlega się skowyt pożądania, którego nie może zagłuszyć wołanie Boskiego Prawodawcy, iż *Błogosławieni czystego serca*, nie może uciszyć nawet wizja przerażającej gehenny. Płynie nurt żywiołowej namiętności, porywa tysiące i miliony. Nie ominął w ciągu wieków nawet Watykanu, porozsadzał setki klasztorów, poodrywał od Kościoła całe prowincje i całe narody.

Wstrząsający tragizm namiętności ciała, buntującego się i pożądającego przeciw duchowi! Jęczał nad nim i płomienny

Paweł, który gromy rzucał na rozpustny Korynt, szatanowi oddawał rozwiązłego na zatracenie ciała a równocześnie wyznawał w straszliwej rozterce ducha, iż czuje w swych członkach inny zakon. . . i w najgłębszej pokorze wołał o pomoc z góry, by innym przepowiadając Ewangelię, sam się nie potępił. Szarpał się w okowach namiętności i genialny Augustyn a boleścią i wstydem nabrzmiałe karty swej spowiedzi dał do czytania wszystkim ku przestrodze. A jaki tragizm bije z postaci wyschłego z postów Hieronima, który tarza się po ostach i cierniach, a kamieniem bije w swą pierś, by zagłuszyć omam pożądania!

Dzisiejsze zepsucie wielkich metropolij świata jest hańbą cywilizacji, mieniącej się chrześcijańską. Biadają nad tym zjawiskiem socjologowie i ekonomiści, lekarze oraz prawnicy. To co się dzieje dziś w pobliżu gotyckich, romańskich czy renesansowych świątyń może iść w zawody z wyuzdaniem domu Vecjuszów, opodal świątyni Apollina, w wygrzebanym spod popiołów Pompei.

Koszmarna wizja, która nie potrzebuje ilustracyj pornograficznych »Zmór« czy potworniejszych jeszcze »Motorów«. Na jej tle zrodziła się pseudo naukowa teoria panseksualizmu Freuda, która pożądaniem zaprawia całe życie człowieka od dzieciństwa aż po zgrzybiałą starość, poprzez jawę i senne marzenia aż do najniewinniejszych symbolów codziennego życia. Co więcej nawet religijne przeżycia człowieka sprowadza do seksualnej genetyki — *Totem und Tabu.* To nowe wydanie hedonizmu, rozgrzeszającego namiętność i szukające wypalenia się płciowych kompleksów.

Każda prawie dusza ludzka jest areną tego niesamowitego zmagania się dwu sił, tych pokus i najbardziej intymnych walk, wzlotów i upadków, supremacji ducha i zwycięstwa ciała. Bernanos umieści tę walkę pod symbolicznym słońcem szatana, *sous le soleil de Satan.* Bourget opowie o posępnym zwycięstwie demona południa, ale obok swego *Demon du midi,* mógłby jeszcze umieścić demona ranka i zapadającego wieczora a całość zamknąć w niesamowitym: *Il regno doloroso,* jak to zrobił Przybyszewski.

Z głosem literatów, odsłaniających kulisy życia, łączy się nawoływanie ascetów, od anachoretów egipskich począwszy, aż do najnowszych podręczników życia duchownego, które mnożą

przestrogi i podają środki na zwalczenie czającego się w porywach namiętności zła. Ileż to razy z ambon czy z kart ksiąg ascetycznych pada kategoryczne twierdzenie, iż wśród potępieńców 99% przypadnie na ofiary namiętności ciała. A czy do wyjątków należą te zdumiewające fakty, iż dusza obarczona tym występkiem targuje się sama z sobą o koncesje, kurczowo chwyta za strzępy tego, co porzucić musi, lub wręcz wyznaje, iż za to żałować nie może?!

Bo miłość jest czymś tak pięknym i porywającym, tak spojonym dogłębnie z naturą człowieka, że przejawy jej nawet w występnych porywach uwodzą serce człowieka, jak gdyby i wówczas zachowywały jeszcze odblask jej pochodzenia z niebios. Dlatego i na wskróś chrześcijański Dante w swej wędrówce przez ponure regiony piekła znajduje czarujące, współczuciem rozedrgane strofy dla cierpień występnej Franciszki da Rimini, a, po wysłuchaniu jej smutnej spowiedzi, zemdlony ze wzruszenia pada, *come corpo morte cade*.

W współczesnym jednak życiu coraz mniej tych dantejskich eufemizmów, coraz cyniczniej za to występuje brutalny w swych pożądaniach hedonizm. Tragizm namiętności, tkwiący mimo wszystko na dnie hedonizmu znajduje coraz liczniejsze ofiary także w pokoleniu młodych.

Mimo przestróg jednych a pesymistycznych jeremiad drugich rwie naprzód życie młode, w którym pulsuje młoda krew, gotowa zerwać tamy, sypane pracowicie przez »średniowieczną« etykę. Młode, wysportowane ciało poczuło zew zmysłów, nie wstydzi się go bynajmniej, owszem chce dla niego wywalczyć suwerenne prawa. Bunt młodych rozsadza stare formy, zarzewie swe czerpie z ewangelii Lindsey'a, Russell'a czy Lawrence'a, a odwracając się od nudnych, w dodatku rzekomo obłudnych moralizatorów, z entuzjazmem chwyta powabne hasła tych czy innych Lig Reformy Obyczajów, z talentem reklamowane przez Boy'a, Krzywicką i ich satelitów. Liberalizm moralny ma się stać wykładnikiem nowych czasów, a lewicowe obozy młodzieży nie wahają się głosić nowego kodeksu moralności, nie tej obłudnej, burżuazyjnej, ale postępowej i wyzwolonej, nazywającej wszystko po imieniu, stosującej śmiało w praktyce to, co głosi teoria hedonizmu, choćby tą teorią miały być małżeństwa na próbę czy koleżeńskie »współżycie«...

Nie potrzeba być ani zgorzkniałym zrzędą, ani też subtelnym obserwatorem i znawcą współczesnych prądów, żeby stwierdzić, iż brudna fala moralnego zepsucia za dni naszych wzbiera. Nie chodzi już o przemijające wyskoki mody, te czy inne niemoralne filmy, pisma, przedstawienia, o nadużywanie sportu dla pogańskiego kultu ciała itd. Zjawiska analogiczne istniały zawsze i zawsze starsi narzekali na upadek moralności w młodszym pokoleniu. W chwili obecnej przerażać jednak musi fakt, iż moralne rozpasanie podnosi się do godności zasady, iż niemoralne występki rozgrzesza się bez spowiedzi i pokuty, iż czyni się z nich życiową konieczność, a nawet przystraja się je cyniczną frazeologią o nowej, postępowej moralności. Nie mamy już tyko do czynienia z upadkiem, występkiem, ale z zasadą, która w występku upatruje cnotę. Jest to nowy triumf hedonizmu.

Byłoby oczywiście zbrodnią twierdzić, iż cała młodzież polska hołduje tej filozofii. Mimo wszystko jednak przerażającym jest fakt, iż znalazła się drobna mniejszość wśród naszej młodzieży, która odważa się głośno przyznawać do nowego a tak w swej treści nihilistycznego kodeksu hedonistycznej etyki. Ta zorganizowana, a przez pewne sfery niestety popierana mniejszość, stała się ogniskiem najgroźniejszej zarazy, która znajdując zawsze w naturze ludzkiej podatne podłoże, w czasach obecnych może się tym groźniej rozwinąć, gdyż sumienia, odwracane systematycznie od Boga, straciły już dużo ze swej odporności na ponęty zmysłowego użycia.

Rozprzężenie moralne wśród młodzieży, zwłaszcza męskiej, istniało zawsze w mniejszym lub większym stopniu. Ale jesteśmy dzisiaj świadkami, iż zepsucie obyczajów zatacza coraz szersze kręgi, iż nie jest bynajmniej monopolem mężczyzn, dociera do coraz to niższych lat młodzieży..., panoszy się coraz bezczelniej, zatraca wszelki naturalny wstyd. Fakt ten uznaje bezwzględnie sama młodzież. Młodzieńcy głośno narzekają, iż nie ma dziś uczciwych panien, wśród których można by poszukać zacnej i wiernej towarzyszki życia. Panny oskarżają z emfazą o zepsucie i egoizm całą męską młodzież, twierdząc, iż nie można dziś znaleźć uczciwego, szlachetnego młodzieńca. W aforyzmach tych tkwi bezsprzecznie przesada, ale szarpie się w nich również rozgoryczenie i pesymizm, jęczy bezsilnie nostalgia za

idealizmem, którego nie zdoła zadławić doszczętnie szał chwilowej a wiecznie głodnej uciechy zmysłów.

Można by się pokusić o próbę analizy tych czynników, które wpłynęły skutecznie na odrodzenie filozofii hedonizmu wśród współczesnej młodzieży. Trzeba by sięgnąć do całej sumy zła moralnego, jakie częściowo zrodziła, a częściowo spotęgowała ostatnia wojna. To zło nie wypaliło się w okresie kilkunastu powojennych lat, ale ciągle nową płomieni się pożogą. Przybyły potężne w swych skutkach psychicznych przewroty, rozluźniły się wiązania społeczne, szaleje ekonomiczny rozstrój, a za nim jak nieodłączny cień wlecze się bezrobocie młodych, rozleniwienie, beznadziejność życiowa, całe to trzęsawisko psychiczne, na którym lęgnie się wyuzdanie zmysłów.

To znowu siłą reakcji przychodzi paroksyzm buntu przeciw wszystkiemu, co można obwinić i okrzyczeć za przyczynę współczesnej niedoli. Wybuchają strzeliste race młodzieńczego porywu, silne i nieskrępowane słowa sieką bez litości to wszystko, co było,... wieszcząc nowy porządek i nowy raj na zgliszczach przeszłości. Radykalizm myśli, uczuć i słów porywa i upaja, tworzy atmosferę psychozy, w której niemożliwą się staje spokojne i rzeczowe przemyślenie treści głoszonych buńczucznie haseł. Walka z liberalizmem i ustrojem kapitalistycznym łączy się wnet z namiętnym podjazdem przeciw klerykalizmowi, przeciw Kościołowi i temu wszystkiemu, czego ten Kościół jest odwiecznym stróżem. W tej tylko atmosferze buntu i młodzieńczego radykalizmu mogły paść triumfalne okrzyki, iż »religia, święcąca triumfy przez niespełna 20 stuleci, teraz odchodzi do lamusa wspomnień«. Do lamusa przeszłości odsyła się i katolicką etykę, nazwaną średniowiecznym »ascetyzmem«. Ascetyzm nie może mieć zwolenników wśród wojującego pokolenia młodych i normalnych ludzi, w »których najsilniej, po prostu wszechpotężnie przemawia instynkt seksualny«. Wszystko to, co instynkt ten hamuje i w ryzach utrzymać pragnie jest tylko obłudnym zakłamaniem burżuazyjnej etyki, która prowadzi do kretynizmu umysłu, do osłabienia woli oraz wypaczenia charakteru.

Tak brzmią pogańskie głosy współczesnego hedonizmu, który wabi na ścieżkę życiowej łatwizny.

Oto problem niemoralności. Skupiliśmy w nim w pobieżnym skrócie jedynie cienie i plamy ludzkiego upadku. Pominęliśmy świadomie wszystko co wzniosłe, co mówi o zwycięstwie ducha nad ciałem i jego namiętnościami. A uczyniliśmy to dlatego, by wykazać, iż doprawdy, rozważając jednostronnie ten problem ludzkiego życia, można ulec obsesji na temat wszechwładzy i wszechpotęgi namiętności, przed którą, jakby się zdawało nikt i nic oprzeć się nie może.

I obsesji tej uległ drugi system filozofii życia, który zwiemy jansenizmem. Nie chodzi nam oczywiście o jeden odcinek dziejowy, w którym jansenizm się jawi, bo jego ducha możemy śledzić na przestrzeni wieków, jako skrajną reakcję przeciw tezom życiowego hedonizmu.

Znajdziemy go i we wschodnim dualizmie, który w naturze materialnej widział przewrotne dzieło Arymana. Spotkamy go w manicheizmie, który z pogardą spoglądał na ciało, jako siedlisko zła i szatańskich potęg. Przejawi się i w enkratyzmie, który w każdej rozkoszy zmysłowej widzi tylko grzech i zbrodnię i dlatego potępia nawet legalne małżeństwo.

Ale duchem ponurego jansenizmu zaraził się również chrześcijański anachoretyzm, który jedynie ucieczkę od świata, od jego pokus i złudnych miraży uznawał za jedyne rozwiązanie zwycięstwa ducha nad pożądliwością ciała. To ten przesadny spirytualizm, który wszędzie węszy zło i zasadzki szatana, w zewnętrznej przyrodzie widzi tylko ścianę odgradzającą człowieka od Boga i każe zamykać oczy na piękno przyrody, by rzekomo ułatwić kontemplację piękna niestworzonego.

Dla wielu ascetów zmysłowa natura jest tylko smutnym dziedzictwem upadku Adama, siedliskiem zepsucia i zarzewiem buntu. Ciało to przede wszystkim wróg duszy, z którym trzeba walczyć, w najlepszym razie osiołek, którego zaprzęga się do pracy, okłada mocno dyscypliną, aby przypadkiem nie wierzgał.

Te ascetyczne nastroje ultraspiritualizmu ponure w swej treści, nieludzkie i niechrześcijańskie stały się tragedią dla Lutra, który nie mogąc rozwiązać problemu tragizmu namiętności przeszedł w otwartym buncie w szeregi renesansowego hedonizmu. O ten sam szkopuł przesady rozbił się i Janseniusz, stwarzając w heretyckim uporze system ponurej ascezy, oddalający ludzi żyjących w małżeństwie od Eucharystycznego sto-

łu, gdyż żyjąc w uciechach ciała stają się niegodni nadprzyrodzonej agapy.

Odpryski tej filozofii zatruły wiele szlachetnych umysłów, które stanęły bezradnie wobec tragicznego problemu namiętności ciała.

Tej bolesnej obsesji zła uległ, tak się nam zdaje, właśnie w tej kategorii ludzi wielkich i szlachetnych, konwertyta świeżej doby a wybitny pisarz francuski François Mauriac. Tragizm namiętności, drążącej swe ponure koleiny w psychice chrześcijanina, opanował do głębi wrażliwy umysł estety i pełnego finezji psychologa. Czy przemyślał on i przejaskrawił w swej duszy wstrząsającą wizję zwycięskiego pochodu tej namiętności poprzez dzieje ludzi, czy może wglądnął wnikliwie w psychikę jedynie współczesnych, czy może kreśli obraz własnych przeżyć, stanów własnej duszy, historię bolesnych zmagań, rzuconą na kanwę fikcyjnych wydarzeń? Nie wiem. Za to faktem jest oczywistym i przygnębiającym, iż twórczość tego niepospolitego pisarza zamyka się w znacznej mierze w kolisku koszmarnych dziejów namiętności, z którego nie ma prawie wyjścia.

Mauriac formułuje problem, z uporem obsesji przejaskrawia jego fazy, mistrzowską intuicją analizuje najsubtelniejsze przejawy upojnej a występnej namiętności a rozwiązania tego problemu nie daje, bo to które szkicuje nie idzie po linii katolickiej prawdy. A Mauriac jest i chce być katolikiem, katolicyzmem przepaja karty swych powieści i dlatego właśnie lektura jego arcydzieł może stać się niebezpiecznym manowcem dla umysłów nieuzbrojonych skądinąd.

Mauriac wie doskonale, iż cały dekalog jest logicznym tylko rozwinięciem przykazania pierwszego: *Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną!* Każdy grzech jest w swej istocie przekroczeniem tego kardynalnego nakazu. Lecz kiedy trybunał sumienia ludzkiego zaczyna osądzać grzech przeciw przykazaniu szóstemu czy dziewiątemu, to wyrok swój wymawia głosem drżącym ze wzruszenia. Zdaje się bowiem ludziom, że sama natura kryje w tym wypadku w swym łonie tajemną zasadzkę i na drodze naszego żywiołowego pragnienia miłości podstawia stworzenie w miejsce Stwórcy.

»Jeżeli wątpisz — pisze Mauriac na początku powieści: *Le fleuve de Feu,* — że dobrze urodzona panna, młoda i cza-

sem pobożna może zejść do poziomu Gizeli de Plailly (kobiety upadłej), pomyśl o duszy twojej, która jest przejęta Bogiem, lecz zawsze płomienniej kocha swoje nieczyste występki«.

To zasadniczy refren, przewijający się w różnych niuansach we wszystkich prawie powieściach tego bezgranicznie szczerego artysty; refren wynikający z pesymizmu zatrutego poglądu na supremację i wszechwładzę zmysłowego pożądania. Tu właśnie dopatruję się u Mauriac'a psychopatycznej obsesji, która wszędzie i we wszystkim widzi tylko przejawy żądzy; tym przejawom poświęca mistrzowskie pióro analizy, a swym psychologicznym podejściem potrafi uwieść i porwać. Czytelnik raz zasugerowany przez świetną i, takby się zdawało, na wskróś psychologiczną analizę przejawów życia, idzie już na ślepo za Mauriac'em, zapominając o tym, że autor przejaskrawia analizę, a w swej obsesji uogólnia zjawiska.

W swej książce *Souffrances du Pécheur* rozwija znowu Mauriac pełen realizmu obraz miłości ziemskiej a namiętnej, ale, co dziwniejsze, miłość tę zdaje się uważać za jedynie prawdziwą. Wszak mówi dość niedwuznacznie, iż każde małżeństwo jest sakramentem, a małżeństwo chrześcijańskie skazuje ponadto kobietę na dozgonną płodność, zaś mężczyznę na dozgonną czystość. — Skąd płynie tak skrajny wniosek? Bo »miłość« na łonie rodziny czy w gronie przyjaciół nie jest już właściwie miłością, a skoro przemienia się w »miłość« (namiętność) staje się występkiem.

Według Mauriac'a wszelka prawdziwa miłość ziemska jest istotnie zespolona z żądzą i dlatego to zasadniczą tezą wspomnianej książki jest twierdzenie, iż wszelka miłość ziemska przesłania nam Boga i od Boga nas odwodzi. Stąd już logicznie płynie skrajny wniosek, iż mistycy, którzy wyrzekli się wszelkiej ziemskiej miłości, a których my dlatego uważamy za chrześcijan wyjątkowych, heroicznych, są właściwie jedynie prawdziwymi chrześcijanami, wszystko inne jest tylko namiastką chrystianizmu. »Bóg chrześcijan — tak twierdzi Mauriac — nie chce być tylko kochanym, On chce być kochanym j e d y n i e. Nie znosi byśmy od Niego odwrócili chociażby jedno westchnienie, albowiem wszelka inna miłość jest już bałwochwalstwem. I wymaganie to jest najzupełniej rozsądnym... Kochać bowiem stworzenie i nie ubóstwiać go jest rzeczą niemożliwą. Ono staje się

jedynym koniecznym; ono zajmuje miejsce Boga; swą obecnością stwarza niebo, a nieobecnością piekło«.

Oto integralizm okrutny i bezwzględny, którego wyznawcą jest konwertyta Mauriac. Integralizm znany w dziejach Kościoła jako jansenizm ponury i przygnębiający, a pod pozorami ascezy oddalający ludzi od miłości Stwórcy. Czy bowiem nie z takich przesłanek płynął wniosek jansenizmu, iż ludzie żyjący w małżeństwie nie powinni przystępować do Komunii św., gdyż są jej niegodni, — a niegodni, gdyż dzielą swą miłość między Boga a stworzenie?

W świetle tych zasad, potępionych przez Kościół, można dopiero zrozumieć pogląd Mauriac'a, iż małżeństwo chrześcijańskie musi się właściwie wyrzec miłości, musi zejść do roli mnożenia potomstwa, bez namiętnych porywów i ekstaz — bo to wszystko jest już bałwochwalstwem. Ale powiedzmy otwarcie: »Mężatka, skazana na dozgonną płodność, a mąż na dozgonną czystość« — to postulat nie katolicyzmu ale jansenizmu.

Wzniósłszy ideał miłości Bożej na niedosięgalne wyżyny, równocześnie przejaskrawia Mauriac przygniatającą potęgę namiętności, zaprawionej pożądaniem. Cóż bowiem może przed nią uchronić człowieka?

Czyż światło rozumu potrafi oświetlić znikomość cielesnej uciechy? Przecież miłość, odpowiada Mauriac, niesie ze sobą właśnie utratę rozumu, jest ona szaleństwem, a szalony nie zdoła rozumować spokojnie i trzeźwo!

Czyż może wzgląd na znikomość i śmiertelność stworzeń ochłodzi żar pożądania? Znany to argument wszystkich kaznodziejów. Ale i ta metoda, zdaniem Mauriac'a, nie osiągnie skutku. »Grzesząc, tym więcej przywiązujemy się do danej istoty, im lepiej znamy jej śmiertelność. Im więcej powtarzacie nam, że młodość trwa tylko jeden dzień, że piękno jej zwiędnie, że to ciało urocze przeznaczonym jest na zgniliznę, — tym bardziej pragniemy je uścisnąć, tym usilniej chcemy włożyć wieczność w uściski jednej godziny«.

Może zatem trzeba nam przypomnieć, iż chwilowe upojenie doczesne prowadzi do utraty bezmiernego szczęścia w życiu przyszłym? I ten argument daremny! »...Prawda jest tuż blisko i, może płacząc, otacza nas gronem aniołów; lecz między nią a nami pożądanie gromadzi ciemności; błądzimy w nich

i wyciągamy tęskne ramiona, szukamy dłońmi po omacku; w najwyższym wycieńczeniu ducha stawiamy na kartę życie wieczne za jedną chwilę spoczynku na ukochanej piersi«.

Mistrze ascezy zalecają opanowanie uczucia, ucieczkę przed przywiązaniem — rozłąkę. Tak, jedyny to prawie środek, ale czy skuteczny?

»Nieobecność jest zimą miłości, która chowa się pod powierzchnią ziemi i nie porusza się więcej«, popada w zimowy letarg. Ziarno ściśnięte przymrozkiem wstrzymuje swe kiełkowanie, ale nie umiera. To też wystarczy nawet i przypadkowe spotkanie, a miłość budzi się ze snu, niczym roślina pod ciepłym tchnieniem wiosennego słońca, rozwija się i bujnie rozkwita.

Pożądanie miłosne jest zdaniem Mauriac'a siłą tak potężną, że oprócz nadprzyrodzonej łaski, nie ma na świecie żadnego środka, który by to zło opanował i wyrwał je z duszy ludzkiej.

»Pożądanie to pies, który schował kości i wygrzebuje je z ziemi na nowo, to choroba raka przenikająca cały organizm; infekcja sięga przerzutami wszędzie. Dlatego nie ma większego cudu nad nawrócenie«.

W uwagach tych i analizach tkwi bez wątpienia część życiowej prawdy, ale uderza również przejaskrawienie i oczywista przesada, którą zrozumieć można jedynie we funkcji jansenistycznej obsesji autora.

Twierdzenia Mauriac'a płyną jednak nie tylko z jednostronnych i zasugerowanych natręctwem psychicznym spostrzeżeń, ale także z błędnej i sprzecznej z katolicyzmem nauki. Tę bowiem wszechpotęgę pożądania tłumaczy Mauriac grzechem pierworodnym, który gruntownie zepsuł i znieprawił ludzką naturę, a tym samym zburzył jej pierwotną harmonię.

Otóż na takie gruntowne zepsucie natury ludzkiej nie zgodzi się teologia katolicka, walcząca nie od dzisiaj z przesadnie pojętym »augustynizmem« Lutra, Du Bay'a i Janseniusza. Wszak powszechna prawie opinia teologów twierdzi, iż przez grzech pierworodny natura nasza nie została skażona w e w n ę t r z n i e. Jej upadek, obniżenie i zepsucie oznaczają tylko postradanie przez nią wyższych i nadnaturalnych prerogatyw. Przez grzech pierworodny człowiek spadł niejako do naturalnego swe-

go poziomu, podczas gdy Bóg przeznaczył mu wyższą godność— dziecka Bożego. Ale przyjąwszy nawet tezę o pewnym skażeniu samej natury człowieka, nie wolno tego skażenia przesadzać, wydając człowieka w całkowitej bezsile na łup rzekomo wszechwładnej namiętności. Błędem jest twierdzić, iż wszelkie motywy i środki, jakich dostarcza nam i rozum i wiara, są bezskuteczne, jeśli chodzi o opanowanie żądzy; błędem jest przypisywać zwycięstwo jedynie łasce, działającej jakby przemocą, jakby wbrew ludzkiej naturze, bez jej współdziałania i wysiłku.

Teraz już łatwo zrozumieć błędne założenia Mauriac'a, na których tle rozwinął z niepospolitym talentem obraz tragizmu namiętności. Obraz to wstrząsający ale nieprawdziwy. Jest w nim żelazna logika, ale oparta na błędnych w swej treści przesłankach. Gdyby prawdą było, iż człowiek nie może opanować naturalnego instynktu, iż każda miłość jest grzesznym pożądaniem, a zatem bałwochwalstwem i obrazą Boga, to wówczas oczywiście nie ma rozwiązania problemu, poza cudowną interwencją samego Boga. Wówczas istotnie mistycy byliby jedynymi katolikami na świecie.

Zastrzeżenia te sformułowała przejrzyście katolicka krytyka francuska i wówczas Mauriac dla obrony niejako swej prawowierności napisał nową książkę pt.: *Bonheur du Chrétien*, która miała zniwelować pesymizm książki poprzedniej.

Otóż trzeba wyznać bez zbytecznych eufemizmów, iż w książce tej są prześliczne, prawdziwie natchnione wzloty poetyckie, jest mistycyzm i ukochanie Boga nade wszystko, nie ma jednak rozwiązania problemu tragedii namiętności, która rozsadza bólem i pesymizmem karty poprzednich powieści o rzece ognistej *(Le fleuve de feu)*, o pustyni miłości *(Le désert de l'amour)* czy o cierpieniach grzesznika *(Souffrances du pécheur)*.

Mauriac, szczery konwertyta, nie wżył się dostatecznie w ducha chrystianizmu, nie przeniknął w głębię nauki Mistrza z Nazaretu. Dlatego wyolbrzymia wewnętrzną tragedię człowieka; dlatego do rozmiarów antynomii urasta u niego problem pogodzenia miłości płomiennej Boga z płomienną miłością stworzenia; dlatego Mauriac załamuje bezsilnie ręce nad tragedią, nad którą tylu chrześcijan triumfuje z pogodnym uśmiechem. Uśmiech ten suponuje wprawdzie walkę i cierpienie, ale

walka i cierpienie to jeszcze nie wewnętrzne rozprzężenie, tym mniej beznadziejna tragedia.

I dlatego to wobec pozornego dylematu: hedonizm czy jansenizm wyznaczamy jako odpowiedź na sformułowany problem: pełny, katolicki bo Chrystusowy humanizm!

Nie kto inny, jeno Chrystus przyniósł rozwiązanie pełne harmonii.

Umiał pochylić się nad nędzą występku; na rzuconą do swoich stóp cudzołożnicę, nie rzucił kamieniem; jawnogrzesznicę z Magdali wzniósł na wyżyny dziewiczej czystości; z występnej Samarytanki uczynił apostołkę prawdy.

Sam wprawdzie nie założył rodzinnego gniazda, ale nie odmówił zaproszeniu na weselne gody i pobłogosławił je wstrząsającym cudem.

Mając nieograniczoną litość dla ludzkiej słabości, która pokutuje — porywał równocześnie ludzką namiętność na wyżyny dziewictwa, które cieszy się oglądaniem Boga.

A oglądać tego Boga ma nie tylko duch, ale i ciało przeznaczone do nieśmiertelności. Ciało stworzone przez Boga i wyposażone w instynkty; ciało, które według woli Bożej staje się podłożem nowego życia, współtwórcą w wielkim dziele mnożenia się ludzkiego rodzaju.

Instynkt miłości oraz pożądania rozkwitający w ojcostwie oraz macierzyństwie jest rzeczą dobrą, szlachetną staje się źródłem nie tylko zmysłowej ekstazy, osładzającej trudy rodzinnego życia, ale płynie z niego również szlachetny duch ofiary, wznoszący się nierzadko na wyżyny nadludzkich poświęceń.

W tym sensie i w tym kierunku należy szukać rozwiązania problemu namiętności. Rozum i wiara, ludzki wysiłek i łaska każą patrzeć na instynkt ciała i na jego pożądanie, jako na dzieło Boże, przed którym otwierają się perspektywy wysokich przeznaczeń.

Rozum i wiara, wysiłek ludzki i łaska chronią czystą miłość przyjaźni i koleżeństwa przed podmuchem żądzy.

Rozum i wiara, wysiłek ludzki i łaska każą zachować wielkie skarby natury dla harmonijnego rozwoju rodziny, chroniąc ludzkie ciało przed zmarnowaniem tych skarbów w przed czy poza małżeńskiej rozpuście.

A bywa także niekiedy, — iż wiara i łaska zapraszają rozum i ludzki wysiłek na wyżyny dobrowolnego dziewictwa, które instynkty ojcostwa i macierzyństwa składa w ofierze nie tylko Bogu, ale umie poświęcić je i dla dobra drugich.

Między szkopułami hedonizmu oraz jansenizmu wyłania się jedyna i do zwycięstwa ducha wiodąca filozofia pełnego, bo Chrystusowego humanizmu, który tworzy i utrzymuje życie ale umie również rozbłysnąć blaskami dziewictwa.

Przed oczyma staje Frassati, student uniwersytetu, który zdawał świetnie egzaminy, pracował w naukowych kółkach, ale umiał również zatańczyć z koleżankami, piąć się na alpejskie szczyty, być idealnym kolegą — bo przejął się do głębi filozofią humanizmu Mistrza z Nazaretu.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Wierzysz, że Bóg się zrodził w Betlejemskim żłobie
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w Tobie.

Mickiewicz: »Zdania i uwagi«.

Jam lepszy w boskim podobieństwie swoim
Bym godzien tylko był szatanów śmiechu.

Staff: »Ucho Igielne«.

Uwagi po Kursie Księży Moderatorów
Sodalicji Mariańskich Młodzieży Szkół Średnich w Polsce.

W dniach 28, 29 i 30 kwietnia br. odbył się w Warszawie pierwszy ogólnopolski kurs księży moderatorów Sodalicji Mariańskich szkół średnich przy udziale 220 uczestników ze wszystkich polskich diecezji. Liczba tak wielka świadczy o trosce księży prefektów zarówno o rozwój Sodalicji na terenie szkolnym, jak o zachowanie jej właściwego ducha: stowarzyszenia religijnego, mającego cel wyrobienia duchowego młodzieży oraz zaprawienia jej do czynnego katolicyzmu w życiu. Ks. prałat Winkowski, prefekt w Zakopanem, którego trzeba uważać za głównego organizatora sodalicyjnego ruchu w szkołach średnich, może zaiste cieszyć się owocami wieloletniego trudu. Dwa Związki, jeden młodzieży męskiej szkół średnich, zostający pod jego osobistym kierunkiem, drugi, skupiający młodzież żeńską pod kierunkiem obecnie ks. dra Litwina w Krakowie, promieniują ideę sodalicyjną w czasopismach: *Pod znakiem Maryi*, wychodzącym w Zakopanem rok XIX i *Cześć Maryi* w Krakowie, rok XVI. Kurs miał być dalszym krokiem w pogłębieniu sodalicyjnej myśli i zespoleniu na tym polu usiłowań księży kierowników przez bezpośrednią wymianę zdań, praktycznych spostrzeżeń i omówieniu trudności, na jakie napotyka trwałość sodalicyjnego siewu wobec częstego niełączenia się gimnazjalnych sodalisów po opuszczeniu szkół średnich z organizacjami sodalicyjnymi starszych oraz wobec różnych miejscowych przeszkód w sodalicyjnym życiu.

Obok dwu referatów, mających uprzytomnić ogólne zasady co do istoty Sodalicji i jej dziejowy rozwój, które w miej-

sce zaproszonego ks. J. Rostworowskiego T. J. objął za przebywającego wówczas w Rzymie prelegenta, na podstawie i w ramach jego Przewodnika, ks. prałat Winkowski, wysunęły się na czoło jako podstawa dyskusji dwa inne, bardzo interesujące, b. profesora i wizytatora ministerialnego, obecnie dyrektora Biblioteki Pedagogicznej we Lwowie, dra Jana Kuchty, mianowicie: »Psychologia młodzieży męskiej i żeńskiej w okresie dojrzewania a wychowanie religijne«, oraz »Najwybitniejsi współcześni pedagogowie katoliccy i ich poglądy na wychowanie współczesnej młodzieży katolickiej«. Dr Kuchta ze znajomością wytrawnego pedagoga a zarazem z pełnym odczuciem wymagań katolickiej pedagogii przedstawił w pierwszym referacie całokształt współczesnych badań nad psychologią młodzieży i uwypuklił momenty, które należy uwzględnić w ocenie i prowadzeniu etycznym dojrzewającego pokolenia. Odczyt był bardzo pożyteczny ze względu na katolickie naświetlenie zagadnień, znanych przeważnie z literatury akatolickiej, albo i wprost wrogiej katolicyzmowi. Dobrze by było, gdyby mógł się ukazać w czasopiśmie jakimś pedagogicznym katolickim albo w »Miesięczniku Katechetycznym i Wychowawczym«. Szkoda tylko, że w drugim referacie ograniczył się dr Kuchta na pedagogach zagranicznych a nie rozwinął dorobku polskiego, który zwłaszcza na polu wychowania dziewcząt może się poszczycić wcale pokaźnym i oryginalnym plonem. »Muzeum« i czasopisma wydawane przed wojną w Warszawie, spuścizna hrabianki Cecylii Zyberk-Platerówny, generałowej Zamoyskiej, Matki Darowskiej, Siedliskiej, działalność Matki Cecylii Łubieńskiej dostarczyłyby bogatego i dostosowanego do polskich charakterów materiału, wiele cenniejszego aniżeli Förster, którego żadną miarą nie można liczyć bez zastrzeżeń do katolickich wychowawców.

Nie te wszelako referaty stanowiły główną wartość sodalicyjnego kursu moderatorów.

Skupiła się ona w referatach praktycznych ks. Winkowskiego: »Metody pracy w Sodalicji uczniów«, ks. dra Litwina: »Metody pracy w Sodalicji uczennic«, ks. dra Dajczaka: »O kursach przeszkolenia dla sodalisów«, do których wstępem był referat ks. dra Rostkowskiego: »Życie eucharystyczne młodzieży sodalicyjnej na tle ascetyki młodzieńczej«.

Wniosły one wraz z dyskusją wiele cennych praktycznych uwag i spostrzeżeń. Osobliwie nowym był poniekąd projekt wysunięty przez ks. dra Litwina tworzenia w ramach gimnazjalnych Sodalicji kółek klasowych, które, łącząc się razem na miesięcznym sodalicyjnym zebraniu, mogłyby oddawać się każdego tygodnia krótkiej wspólnej sodalicyjnej praktyce. Ks. dr Dajczak oświadczył się w referacie za podziałem na dziesiątki. W licznych Sodalicjach wyłania się siłą rzeczy potrzeba mniejszych ugrupowań. W Sodalicji Studentek U. P. zaprowadzono wzorem, przeniesionym właśnie z jednej z Sodalicji gimnazjalnych, podział na dziesiątki, grupujące członkinie z tych samych wydziałów, i zostające pod przewodnictwem dziesiątniczek, które wchodziły tym samym do zarządu. Ułatwiło to właściwe kierownictwo liczną, około 200 osób liczącą Sodalicją, a zarazem wzmogło współżycie sodalicyjne i wzajemne oddziaływanie w duchu bożym na się sodalisek, stanowiących w małych kółkach jakby jedną rodzinę. Wśród studentów U. P. ten ustrój nie dał się już z pożytkiem wprowadzić. Pozostałby czymś martwym, organizacją papierową. — W Sodalicji Pań Inteligencji w Przemyślu istniał przed laty podział na koła stanowe. Trzon główny stanowiły panie, zamieszkujące stale w mieście, a obok niego w tej samej Sodalicji było koło Pań obywatelek wiejskich i koło Panien miejskich, oba z osobnymi wydziałami, które przez prezydentkę i sekretarki łączyły się z wydziałem głównym. Z tych kół rozwinęły się niebawem osobne Sodalicje. Owszem podział był właściwy od zarania i rzymskiej Sodalicji *Primaria*, która obejmowała cztery koła wedle studiów, jakim się poświęcali członkowie. Podział ten oczywiście nie pokrywał się z wysuniętym przez ks. dra Litwina, ale wskazuje, że pewne administracyjne grupy w Sodalicji są zgodne z jej duchem i tradycją. Jeżeli chodzi o podział gimnazjalnych Sodalicji, to klasowy wydaje się bardzo odpowiedni, z zastrzeżeniem, że w poszczególnych klasach znajdzie się kilku lub kilkunastu sodalisów (sek). W szkołach, w których Sodalicja jest nieliczna, taki podział byłby bezcelowym schematem. Zależy wszystko od warunków miejscowych i uznania moderatora jak należy zorganizować miejscową Sodalicję, by była naprawdę żywotną. W każdym razie projekt ks. dra Litwina podaje jeden ze sposobów, mogący dodatnio wpłynąć na prowadzenie Soda-

licji w szkołach średnich. Tak organizował przed laty kółka religijne w gimnazjum niemieckim w Królewskiej Hucie na Śląsku tamtejszy profesor religii, urządzając co tydzień we własnym mieszkaniu religijne klasowe zebrania dla uczniów żądnych pogłębienia szkolnej nauki. Cztery najwyższe klasy miały każdego tygodnia wyznaczoną godzinę nieobowiązujących zebrań u swego duszpasterza szkolnego. Nie ulega wątpliwości, że na tej drodze moderator może osiągnąć dodatnie wyniki w zestrojeniu nauki religii, właściwej każdej klasie, z życiem odpowiednio do zainteresowań młodzieży, wyłaniających się z nauki szkolnych przedmiotów. Zadzierzga się przy tym między nim, jako duszpasterzem, a sodalisami stosunek, oparty na większym zaufaniu do swego duchowego kierownika, który i w późniejszych latach da ostoję jego wychowankom. Posiedzenia takie sodalicyjne klasowe musiałyby być krótkie, powiedziałbym półgodzinne, w wyjątkowych razach godzinne, o ile zainteresowanie budzi wysunięta w swobodnej dyskusji kwestia (5 minut na modlitwę wspólną a reszta na przeczytanie odpowiedniego ustępu pobożnej książki o głębszym zasięgu myślowym lub na pogadankę). W szkołach męskich mógłby moderator zbierać chłopców na tygodniowe takie sodalicyjne posiedzenia we własnym mieszkaniu a w szkołach dziewcząt łatwo by znalazł miejsce w kaplicy czy sali jakiejś zakonnej ochronki. Uniknęłoby się trudności tam, gdzie w salach szkolnych natrafiałyby na nie zebrania poza godzinami szkolnymi.

Czy wobec podziału klasowego zachować podział sekcyjny, względnie któremu dać pierwszeństwo? Zależy od miejscowych warunków. W każdym razie jeden nie wyklucza teoretycznie drugiego. Podział klasowy jest raczej mechanicznym podziałem organizacyjno-administracyjnym. Podział sekcyjny opiera się na różnych zainteresowaniach członków Sodalicji, które mogą być w wielu razach wspólne młodzieży różnych klas. Sekcja charytatywna ma na celu rozwinięcie pomocy ubogim kolegom, opiekę i odwiedzanie chorych, bezinteresowną pomoc w nauce potrzebującym, sekcja uświadomienia głębszego w zagadnieniach wiary i moralności katolickiej skupia młodzież, pragnącą w tym kierunku zdobycia dokładniejszych pojęć, sekcja eucharystyczna idzie ku spotęgowaniu ducha modlitwy i zespoleniu życia z eucharystycznym Chrystusem itd.

Pamiętać przy tym należy, że wszelki podział wyrastać powinien z potrzeb danej Sodalicji i do nich się stosować. Nie może być czymś stałym. Co jednego roku odpowiada, może na drugi być martwą literą, bezdusznym balastem, hamującym życie. Sodalicja w podziałach czy sekcjach winna zachować pewną elastyczność, pozwalającą każdego roku na takie przegrupowanie, które odpowiadałoby potrzebom i nastrojom członków.

Jakikolwiek jednak obierze się podział nie wolno zapominać, że moderator powinien sam być obecny na zebraniach grupowych, nie aby narzucać swe zdanie, ale by służyć swą radą i doświadczeniem. Inaczej zebrania samych świeckich członków mogą albo zejść na niezdrową mistykę i fantazmagorie religijne, tworzyć katolicyzm *sui generis*, albo pchnąć na drogę uciążliwej, fałszywej dewocji. Nakłada to ciężki obowiązek duszpasterzowi, pochłania mu czas, jednakże, jeżeli nie chce być moderatorem *honoris* a raczej *dishonoris causa*, stanowi jego obowiązek. Sodalicja w swej istocie ma w pierwszym rzędzie nie spełniać dzieła zewnętrzne, ale kształcić na nadprzyrodzonym podłożu charaktery, w życiu własnym i w czynie i dlatego wymaga ustawicznej pieczy delikatnej, nie narzucającej się, ale pieczy osobistej moderatora. Moderator nie jest kuratorem, który może z dala czuwać czy się organizacja nie wychyliła z właściwego toru, lecz powinien ojcowskim, wyrozumiałym okiem opiekuna nieustannie patrzeć, czy jego uwaga, lub rzucone słowo nie będzie wskazane na zebraniu.

Są to uwagi, jakie się nasunęły pod wpływem wartościowego projektu ks. dra Litwina, ks. dra Dajczaka i dyskusji księży moderatorów.

Nie mogę jednak podzielać pewnego pesymizmu, jaki zawiewał z odezwań się niektórych, co prawda nielicznych, księży prefektów w ocenie owoców i trudności, na jakie natrafia większy rozwój Sodalicji na gimnazjalnym terenie. Tyle pracy! Tyle trudów! A gdzie się podziewają te rzesze sodalisów po ukończeniu gimnazjum? Jakby w tym pobrzmiewało: »przez całą noc pracując, niceśmy nie ułowili«.

Trudno żądać, aby każde ziarno, jakie siejemy, zeszło. I w ziemię rzucane nie wszystko wydobywa się na wierzch, ale tam tkwi i spełnia rolę wyznaczoną sobie w Bożym planie twórczym. Podobnie ma się z młodzieżą, która w swych prometej-

skich latach, nawet zupełnie szczerze, pragnie wstąpić w maryjne szeregi a potem nieraz, albo wykoleiwszy się, bezpowrotnie odpada, albo przechodzi lata burzy i walk, lub zobojętnienia dla religijnych przeżyć, aby dopiero po latach, przypomnieć sobie sodalicyjne zobowiązania i do nich powrócić. Ziarna się dużo marnuje. Ale czy naprawdę owoc pracy, jaką księża prefekci wkładają w Sodalicję jest tak mały? Wszakże odrodzenie religijne młodego pokolenia, takie, że ono udziela się i starszemu, ten dzisiejszy wiew duszy ku Bogu wśród inteligencji, jeżeli nie zupełnie, to jednak w potężnej mierze przypisać należy gimnazjalnym Sodalicjom. Sprawdza się *Cunctas haereses sola interemisti*. Jeżeli pod tym względem mogłaby powstać wątpliwość, to rozwiewają ją tłumne pielgrzymki akademickiej młodzieży do Jasnogórskiej Królowej. Nie zmienia rzeczy, że one skupiają liczną, może nawet liczniejszą, młodzież pozasodalicyjną, że wśród starszych biorą w nich udział rzesze niesodalicyjne. Jest to plon maryjnego posiewu, jaki padł w dusze w latach gimnazjalnych, a który swe ognisko miał w Sodalicjach.

Przenikanie sodalicyjnego ducha maryjnego w szersze społeczeństwo wiąże się dalej z objawem, który powoduje narzekania księży moderatorów i niepokoi ich, mianowicie, że wielu gimnazjalnych sodalisów nie wstępuje po ukończeniu szkoły średniej do żadnej organizacji sodalicyjnej, ale rozbija się w czasie wyższych studiów na inne organizacje jak: odrodzenie, iuventus itp. a w starszym społeczeństwie wstępuje też do różnych katolickich organizacji z pominięciem czynnego udziału w życiu istniejących miejscowych Sodalicji. Bez wątpienia jest szlachetną ambicją księży moderatorów, aby wszyscy sodalisi, wierni sztandarowi Niepokalanej, szli zespoleni w sodalicyjnej organizacji. Stworzyłoby to nie tylko *aciem bene ordinatam*, ale potężną armię maryjną, oddziaływującą swą zwartą, jednolitą masą na wywalczenie różnych postulatów katolickiego życia i na opinię publiczną. Czy jednak to pobożne pragnienie nie pozostanie zawsze w dziedzinie marzeń i czy takie usuwanie się sodalisów od życia w organizacji należy koniecznie uważać za sprzeniewierzenie się przyrzeczeniom, złożonym przy wstępie do Sodalicji. Oto dwa pytania. Przede wszystkim musimy się z tym liczyć, że młodzieniec czy młoda dziewczyna w gimnazjum styka się z j e d n ą t y l k o Sodalicją. Wcho-

dząc w życie, natrafia na wiele organizacji, pokrewnych celem wyrobienia wewnętrznego i szeroko pojętego apostolstwa, czyli wpływu na otoczenie. Różnią się one sposobami działania, pewnymi kierunkami, w jednych silniej występującymi niż w innych, polami pracy — mają wreszcie różnych przewodników kościelnych, mniej lub więcej sympatycznych danym jednostkom, mniej lub więcej pociągających obejściem, nauką, doświadczeniem i różnymi imponderabiliami. Różne te organizacje grupują nadto różne jednostki, z którymi dotychczasowy sodalis czuje się bardziej zgrany, współżycie z nimi bardziej mu odpowiada. Wpływa to na wybór. W życiu sodalicyjnym przestaje brać udział, czasem dlatego, że czas nie pozwala na pracę w paru organizacjach a czasem bo mu dla różnych względów nie odpowiada zespół w Sodalicji miejscowej lub nawet i moderator nie jest przyciągającym magnesem. W ten sposób potężna jednolita armia w Kościele rozpada się na szereg pułków o różnej broni i różnych zadaniach, nie tracąc jednak ani siły ani jedności, bo w tych rozlicznych formacjach pozostaje zawsze pod naczelnym kierunkiem diecezjalnego księdza biskupa. Nie ma bowiem w Kościele organizacji ludzi świeckich, która by w działalności zewnętrznej nie podlegała w większej lub mniejszej mierze biskupowi ordynariuszowi (o ile są jakieś exempcje, to wedle kanonu 690 dotyczą jedynie życia wewnętrznego i duchowego kierunku). Z faktem więc przechodzenia ze Sodalicji do innych katolickich organizacji musimy się pogodzić jako z przejawem życia, jakiego się nie da usunąć. Wszelkie hasła, by Sodalicja była totalną, to znaczy, by w niej każdy sodalis znalazł zadowolenie wszelkich swych zamiłowań, rozbiją się zawsze o życie, silniejsze od teorii, pozostaną efektownym frazesem zjazdów. W rzeczywistości ani nie znajdzie się nigdy »totalny« moderator, chyba będzie »totalnym« blagierem, ani żadna Sodalicja nie będzie totalną. Czy jednak tego rodzaju opuszczanie w dalszym życiu zebrań sodalicyjnych, życie poza organizacją, choć nieuniknione, nie jest sprzeniewierzeniem się przyjętym raz, i to na zawsze, zobowiązaniom sodalicyjnym, wycofaniem się rzeszy synów czy córek Maryi, wystąpieniem ze Sodalicji?

Zapewne nie jest to ideałem. Sodalis taki pozbawia się przede wszystkim odpustów (przynajmniej przywiązanych do

zebrań), pozbawia się licznych pomocy i bodźców życia wewnętrznego, jakie daje współżycie z osobami, mającymi wspólne ideały i dążenia. Są to racje, by wielki kłaść nacisk na przyłączanie się do pokrewnej Sodalicji w razie zmiany miejsca pobytu. Ujmuje to reg. 47 Ustaw Zasadniczych, podobnie jak reg. 41 przynagla udział w zebraniach. Zresztą jeżeli Sodalicja miejscowa będzie naprawdę żywotna, dająca na zebraniach dużo członkom zachęty do postępowania w im potrzebnej doskonałości a nie będzie tylko magazynem braci śpiących lub sióstr, pań pobożnych, może czasem plotkujących, ale wyszłych z obiegu, pod przewodnictwem moderatora, który po za prezydialną figurą niewiele też daje ze siebie: to nie ma obawy, by nie miała dostatecznej liczby członków i by nie garnęli się do niej przybywający skądinąd sodalisi.

Wszelako pojmowalibyśmy Sodalicję zbyt na wzór organizacji świeckich albo i kościelnych, zatwierdzonych głównie dla czynu, gdybyśmy chcieli uważać, że jednostka, która raz wstąpiła do Sodalicji a później czynnego udziału nie bierze w zebraniach, tym samym opuszcza Sodalicję i stawia się sama poza nią. Byłoby to sprzeczne i z duchem Kościoła i z duchem Ustaw Zasadniczych Sodalicji. Prawo kościelne kan. 696 stanowi, że tylko słuszne przyczyny mogą spowodować wydalenie a porównanie z kan. 693, § 1 wskazuje, że taką przyczyną są ciężkie występki i to wedle kan. 696, § 2 po bezskutecznym upomnieniu. Beringer—Steinen, obaj z Tow. Jezusowego, w klasycznym dziele o stowarzyszeniach kościelnych piszą zgodnie z wielu odpowiedziami rzymskimi, że jeżeli ktoś, nawet przez dłuższy czas, uchylał się od obowiązków w stowarzyszeniu, udarowanym odpustami, to nie potrzebuje nowego przyjęcia i wpisu, ale wystarczy, że znowu podejmie obowiązki, do których są przyłączone odpusty. Kościół zatem nie wykreśla z erygowanych stowarzyszeń dla zaniedbywania obowiązków. Tak samo ujmują rzecz Zasadnicze Ustawy Sodalicji. Mówią, że wszyscy *mają się najusilniej starać*, uczestniczyć w zwyczajnych i nadzwyczajnych zebraniach, że *jeżeli chce zyskać odpusty* powinien wstąpić do innej Sodalicji na nowym miejscu pobytu. Ale nigdzie nie zawierają sankcji wykluczenia. Sodalis taki przez wstąpienie do Sodalicji uzyskuje prawa nabyte do odpustów, łask i przywilejów, do modlitw i zasług sto-

warzyszenia i nie godzi się go pozbawiać ich bez koniecznej potrzeby i bez moralnych wykroczeń, które go czynią niegodnym godności dziecka Maryi. Nawet zakony tak nie postępują ze swymi opieszałymi członkami, raz dopuszczonymi do ślubów, jak to niejednokrotnie czynią w źle zrozumianej gorliwości niektóre ustawy szczegółowe miejscowych Sodalicji. Sodalis taki, usuwający się z organizacyjnego życia w życie niejako prywatne, pozostaje wedle swych przyrzeczeń tak długo sodalisem swej macierzystej Sodalicji, jak długo albo sam aktem własnej woli nie wystąpi, albo za sprzeczne z kodeksem moralnym życie nie zostanie usunięty przez moderatora na uchwałę wydziału. Pod tym względem Sodalicja upodabnia się niejako do cechy Kościoła. Jak ten obok członków, należących do ciała, ma licznych członków, należących do duszy Kościoła, nawet wśród tzw. heretyków i odszczepieńców, o których Bóg tylko wie, tak Sodalicja ma obok członków zorganizowanych, będących w ewidencji, członków idących luzem, ale wiernych życiem i czynem złożonemu przyrzeczeniu Maryjnej służby. Znałem sodalisów i sodaliski, którzy dla swej nie dającej się ująć w karby indywidualności a zarazem pieczy nieraz zbytecznej, jaką nad ich działalnością chcieli rozciągnąć moderatorzy i wydziały, byli niezdolni żyć w organizacji. A mimo to chcieli być wierni maryjnej służbie, czuli się sodalisami i działali dla sprawy Bożej nieraz wiele więcej niż różne zorganizowane Sodalicje, w których wydziały załatwiały pilnie formalne kawałki, zostawiając pieczę nad stroną duchową i postępem w doskonałości moderatorom a członkowie miętolili na posiedzeniach znane ogólniki jak być powinno i przeżywali »podniosłe chwile« niepodnoszących w swej powszechności prawd.

Oczywiście zjawisko luzaków sodalicyjnych nie powinno stać się zasadą i dlatego dobrze było, że księża moderatorzy próbowali wniknąć w przyczyny wycofania się z sodalicyjnego, przynajmniej zbiorowego, życia po ukończeniu gimnazjum. Uznając całkowicie ich słuszność, tym bardziej musimy i do nich nieco uwag dołączyć.

A jako jedną z takich przyczyn wysunięto, że się tak wyrażę, pewną obłudę w zaciąganiu się do Sodalicji — cel u wstępujących nie poświęcenia życia Maryi, ale pozyskania względów i poparcia księdza prefekta. Byłyby bezcelowe i nie na

miejscu wzajemne rekryminacje, czy objaw ten zdarza się częściej w szkołach zakonnych, czy świeckich. Wszelka statystyka tak liczebna, jak procentowa jest tu nie do przeprowadzenia a zarzuty wzajem stawiane byłyby wyrazem chorej wątroby lub osobistej niechęci. Zaprzeczyć się nie da, że takie wypadki, wszędzie się zdarzają i są zjawiskiem tak nieuniknionym jak katar w życiu. Z jednej strony jest rzeczą zupełnie naturalną, że prefekt większą opiekę roztacza nad sodalisami jako młodzieżą, garnącą się do życia pobożnego, religijnego niż nad młodzieżą obojętną albo i hołdującą występkom i że dlatego bardziej ich popiera — są mu milsi. Chodzi tylko o to, by nie popierał sodalisów z pogwałceniem sprawiedliwości na niekorzyść niesodalisów i nie pobłażał sodalisom lub bronił ich wbrew sprawiedliwości. Owszem nawet broniąc sodalisów, powinien od nich wymagać lepszej pracy nad sobą i dokładniejszego pełnienia obowiązków. Zresztą z dobrodziejstwa nienagannego zachowania korzystają w ogóle jednostki w szkole wartościowsze, choćby nie były zapisane do Sodalicji. Z drugiej strony także jest nie do uniknienia fakt, że młodzież, chce sobie zaskarbić względy swego prefekta lub innego profesora, zabiega o nie i podejmuje coś, aby mu się przypodobać. Nawet do przedmiotów świeckich udaje ona nieraz wielki zapał i szczególne zamiłowanie jedynie dla stopnia lub pozyskania sobie nauczyciela a nie z przekonania i chęci poznania przedmiotu. Cele uboczne zresztą i w starszych Sodalicjach odgrywają nieraz rolę przy wstępowaniu pewnych jednostek. O ile takie osoby potem odpadają, to nie ma czego żałować. Im prędzej, tym lepiej.

Gorzej by było, gdyby Sodalicja stała się dla moderatora źródłem wywiadu, co się dzieje w klasach i gdyby z wiadomości, które siłą rzeczy nieraz doń przez sodalisów dochodzą niebacznie w swym duszpasterstwie korzystał. Młodzież jest bardzo wrażliwa, nieraz przeczulona w obawie o donosicielstwo i nic by tak nie zohydziło Sodalicji, jak opinia, że z niej wychodzą informacje księdza prefekta, które potem stają się miernikiem jego sądów o innych i jego postępowania.

Jako drugą przyczynę dezercji młodych spod sztandaru Maryi wysunięto na podstawie wynurzeń samych sodalisów fakt, że w starszych Sodalicjach uprawia się dużo polityki.

Nie chcę przeczyć, że sporadyczne fakty, i to bardzo rzadkie, zdarzały się w niektórych sodalicyjnych ogniskach zarówno akademickich jak starszego dojrzałego pokolenia, że owszem niejednokrotnie ujawniały się tendencje u pewnych politycznych stronnictw, roszczących sobie monopol do katolicyzmu, by opanować Sodalicje. Objaw jeden i drugi dla ducha Sodalicji mało powiedzieć niebezpieczny, ale wprost zgubny. Sodalicja z natury swej jest stowarzyszeniem religijnym, nastawionym na szerzenie w duszach jednostek i w całym społeczeństwie królestwa Bożego i nie może iść w służbę jakiegokolwiek kierunku politycznego. Powinna być raczej łącznikiem między różnymi partiami, byle nie wywieszały na swym sztandarze hasła walki z Kościołem. Moderatorzy, którzy zapomnieliby o tym i własne przekonania polityczne i programy chcieliby wcielić w Sodalicję, wydziały dopuszczające politykę do zebrań i organizacji staliby się najgroźniejszymi niszczycielami i zabójcami sodalicyjnego ducha. Nie znalazłoby się wyrazu w bogatej skarbnicy naszej mowy, by ich działalność dostatecznie napiętnować i potępić. Wystąpienie księży moderatorów-prefektów przyszło więc w porę i było jedną z ważniejszych zdobyczy kursu. Jednakże przyznać trzeba, że Sodalicje starszych, choć najenergiczniej opierać się powinny wprowadzeniu prozelityzmu partyjnego i nadaniu Sodalicji politycznej barwy, mniejsza o to jakiego kierunku, prorządowego czy doń ustosunkowanego krytycznie, nie mogą nie poruszać rozmaitych zagadnień politycznych. Sodalicje nie są stowarzyszeniem dewocyjnym, ale powinny obok udoskonalenia osobistego tworzyć w członkach pogląd na świat katolicki. Ominąć nie mogą zagadnień ani społecznych ani politycznych. Muszą je rozpatrywać pod kątem widzenia ideologii katolickiej. Każda partia polityczna, która się chce ustosunkować pozytywnie do katolickiej nauki i moralności ma obok zagadnień, z nimi zgodnych, inne silnie czasem od nich odskakujące. Jeżeli Sodalicja ograniczy się na ocenie takich tylko kwestii bez potępiania w czambuł całych programów, stronnictw lub osób, nie tylko nie nabierze barwy politycznej, ale może się przyczynić i do wzajemnego zrozumienia i do usunięcia nawet z programów wielu ostrości, które rażą. Pozostanie apolityczną, jaką być powinna. W Sodalicji uniwersyteckiej poznańskiej, którą przez 4 lata prowadziłem, łączyli

się członkowie partii tzw. prawicowych różnego odcienia z członkami Legionu Młodych i Strzelca i w największej harmonii roztrząsali żywotne zagadnienia programów czy poczynań pod kątem zapatrywań katolickich. Owszem, żeby apolityczność Sodalicji tym silniej zaznaczyć statutowo wyłączeni byli od wyższych urzędów w Wydziale członkowie, nawet bardzo wartościowi, którzy w organizacjach politycznych lub politycznym życiu brali udział czynny czołowy a nie tylko ideowy.

Pominąwszy jednak tę kwestię, sam zarzut polityki w Sodalicjach starszych wydaje mi się tylko szukaniem pozoru usprawiedliwienia. Choćbyśmy nawet nawet przyjęli *per absurdum,* że Sodalicje zeszły na politykę i to odstrasza młodzież od dalszego w nich życia po skończeniu gimnazjum, to chyba by tu nie można mówić o polityce konserwatywnej lub tym mniej stronnictw lewicowych. Przecie większość społeczeństwa, zwłaszcza młodzież jest im wroga a członkowie nadają pozór barwy. Barwa więc polityczna stronnictw, mieniących się ekskluzywnie narodowymi odstraszałaby znikomą liczbę katolików, z partii prorządowych a raczej byłaby magnesem przyciągającym rzesze. Raczej trzeba uznać, że w wieku rozpolitykowania i chęci ujmowania wszystkiego pod kątem przynależności do partii właśnie apolityczność Sodalicji, jej charakter wyłącznie katolicki, obejmujący wszelkie stronnictwa a nie polityczny, zacieśniający się do pewnych tylko partii, odsuwa nieraz od niej młodego, wchodzącego w życie człowieka. Tak jednak musi pozostać, jeżeli Sodalicja chce być Sodalicją a nie ekspozyturą nieudolną partii.

Pozostaje jeszcze zapytanie o czysto szkolnym charakterze, jak ustosunkować się do Mszy św. sodalicyjnej? Czy ją urządzać osobno, czy poprzestać na wspólnym gimnazjalnym nabożeństwie.

Powiedziałbym raczej ograniczyć się do nabożeństwa wspólnego. Sodalisi powinni wzór dawać pobożnością na nabożeństwach szkolnych. Myślę też, że pp. dyrektorzy nie łatwo godziliby się na takie osobne, kapliczkowe nabożeństwa a do wysłuchania dwu Mszy św. trudno młodzież obowiązywać. Sam jako kierownik jednego z gimnazjów bardzo niechętnie patrzyłem na takie osobne nabożeństwa z opuszczaniem szkolnego, chyba, że tego wymagała nadzwyczajna sodalicyjna uroczystość

jak przyjęcie nowych członków, która by przeciągała wspólne nabożeństwo. Msza św. osobna, specjalnie sodalicyjna nie wchodzi w konieczny porządek sodalicyjnych zebrań a więc dobro ogółu i przykładu powinno przeważyć. Ostatecznie zależy to dużo od warunków miejscowych i reguły obowiązującej nie można stanowić.

Oto plon poruszonych na Kursie zagadnień. Oby po nim poszły dalsze kursy, które by rozwijały i umacniały prace księży moderatorów-prefektów.

Ks. Władysław Rejowicz T. J.

O kursach przeszkolenia dla sodalisów.

Referat wygłoszony na Kursie Księży Moderatorów.

W ankiecie, którą przeprowadziłem niedawno wśród uczniów z klas wyższych kilku gimnazjów, należących do jednej ze szkolnych organizacji, postawiłem w grupie pytań natury społecznej, następujące: 1) Jakiego chciałbym mieć w mojej organizacji wychowawcę? i 2) Do jakiej organizacji chciałbym należeć i co w niej zdziałać dla dobra społecznego?

Kilkadziesiąt odpowiedzi oddanych na postawione pytania domagało się na pierwszym miejscu od swego wychowawcy wiedzy, następnie dobrego serca, które by młodzież rozumiało i silnej ręki w rządzeniu. Zaś co do drugiego pytania były odpowiedzi podzielone, zależnie od zainteresowań uczestników ankiety. Przeważały jednak ideowe, z których, przebijał wyraźnie zasadniczy ton, iż chcą należeć do takiego stowarzyszenia, które wychowuje dobrych ludzi i oni sami chcieliby również w jakiejś cząstce przyczynić się do ich wychowania.

Młodzież więc, jak widać z tego, szuka w stowarzyszeniu autorytetu i współpracy z nim. W wieku dojrzewania nie zadowalnia się nawet przeciętnym, lecz wymaga dla swej ogólnej słabości i niezaradności prawdziwego wodza; dla pseudo-autorytetów bowiem nie ma już należytego poważania. Gdy go zaś

znajdzie, oplata się około niego, jak bluszcz około potężnych konarów drzewa, a nie chcąc być przy tym pasożytem, spieszy swemu wychowawcy z pomocą, z własną inicjatywą i współpracą. Młodzież domaga się w ten sposób od swego wychowawcy, by ją dopuścił do rządów w organizacji i podzielił się z nią swoją władzą.

Psychologia też pedagogiczna wskazuje, że tam, gdzie w wychowaniu zawodzi dobroczynny wprawdzie, lecz urzędowy wpływ wychowawcy, cudu nieraz dokonuje dobra rada lub nawet ostre upomnienie wiernego kolegi wychowanka, a posłanego przez jego wychowawcę. Podobnie również im więcej tworzy się funkcji w stowarzyszeniu i pocznie się sprawować władzę z uczniami, tym więcej wzbudzi się w nich zainteresowania dla prac organizacji i tym większą znajdzie się u nich pomoc przeciwko opornym i niedbałym członkom.

W Sodalicjach Mariańskich, jeśli one tylko właściwą zmierzają drogą, jest dalekim jej moderator od autorytatywnych w niej rządów. Wie bowiem o tym, że ma w niej działać raczej z ukrycia, wytyczając kierunek dla jej pracy. Na czoło zaś wysuwa w niej jej wydział z prefektem na czele. Ciało to pośredniczy między nim a członkami, którzy się z nim łączą przez swych konsultorów, stojących na czele poszczególnych klas.

Czy jednak ta współpraca ks. moderatora i konsulty daje zawsze pozytywne wyniki? Czy w szczególności przenika taką Sodalicję jeden duch, prawdziwie katolicki, i czy istnieje karność w wykonywaniu przyjętych na się obowiązków. Sądzę, że tylko tam, gdzie ks. moderator cieszy się wielkim autorytetem i dobrał sobie szczęśliwie wzorowych współpracowników. W większości jednak ośrodków sodalicyjnych nie jest praca jednolita i zawsze skuteczna. Brak jej bowiem małych, żywotnych komórek organizacyjnych, które by były podstawą życia sodalicyjnego na co dzień, a nie tylko na niedzielę, kiedy odbywa się zebranie, lub nabożeństwo sodalicyjne. Mam tu na myśli małe zespoły młodzieży sodalicyjnej, zgrupowanej w dziesiątkach lub szóstkach wewnątrz jednej klasy, złączonych przez swego konsultora z całością organizacji. Na czele takiego zespołu stoi więc w kółku mariańskim dziesiętnik, a wśród starszych szóstkowy, który jest dla swej grupy przewodnikiem, przeszkolonym w duchu sodalicyjnym. Wpływ dodatni na swych kole-

gów wywiera on nie tylko w szkole w pracy zawodowej głównie przez dobry przykład, lecz i odwiedza ich w domu, prowadzi ich do kościoła, razem z nimi się spowiada i komunikuje. Informuje ich lub daje im do czytania dobre książki, odpowiednie pisma młodzieżowe, urządza też z nimi wycieczki i pielgrzymki. Nie pomija też z racji np. swoich imienin, zaprosić swoich kolegów do siebie na skromne zebranie towarzyskie. Ci zaś będą mu się odwzajemniali i zacieśniali węzły przyjaźni między sobą.

Apostolstwo świeckie tak głęboko uświadomionego i uspołecznionego przewodnika wśród swoich najbliższych kolegów wypełnia lukę w funkcji naszej pracy sodalicyjnej na odcinku jednej klasy i wnosi do niej większe ożywienie, i pogłębienie życia religijnego. Konsulta zaś wtedy również w pracy swej przeszkolona, zależnie od jej rodzaju, pozostaje wówczas prawdziwym łącznikiem między Sodalicją a jej moderatorem. Jeden duch wszystkich przejmuje i zespala w jedną zwartą i karną całość. Owocne zaś skutki pracy w takich stowarzyszeniach religijnych nie dają na siebie długo czekać.

Dowodem na to są katolickie organizacje religijne w Holandii, z którymi zetknąłem się bliżej ubiegłego roku. Przez moją bowiem władzę duchowną przydzielony poza Sodalicją Mariańską również do duszpasterstwa w Związku Harcerstwa Polskiego Okręgu Lwowskiego, mam możność brać udział w zlotach międzynarodowych tej organizacji. Ostatni taki zlot odbył się, jak wiadomo w Holandii. Z tej też racji spędziłem tam prawie dwa tygodnie, częściowo na zlocie, a resztę czasu na podróżach krajoznawczych po tym kraju.

Wszędzie śledziłem tam bacznym okiem życie religijne i organizacyjne tamtejszej młodzieży. Nie tylko holenderskiej, lecz również młodzieży innych katolickich państw, która w liczbie 6.000 zjechała tłumnie na wspomniany zlot. Ponieważ było także wśród niej wielu księży, kapelanów, w liczbie prawie 450, miałem więc możność czynienia z niektórymi wywiadów, na tematy związane z życiem religijnym w ich katolickich związkach młodzieżowych. Widziałem zresztą i samą młodzież, jak się modliła, do Komunii św. przystępowała, adorowała przez całą noc Najświętszy Sakrament, jak umundurowana szła ze sztandarami w pochodzie, jak składała w katedrze haarlemskiej hołd

Chrystuowi Królowi. Widziałem ją także w jej życiu rodzinnym i organizacyjnym.

Moje zaś ogólne spostrzeżenia o katolickiej młodzieży holenderskiej są następujące:

W niektórych organizacjach katolickich, komunikuje się młodzież codziennie w dziewięćdziesiątych procentach. Liturgicznie jest wyszkolona i śpiewnik liturgiczny oraz mszalik nie należy u niej do rzadkości. Religijnie uświadamiana w szkole wyznaniowej katolickiej, pogłębia swe wykształcenie religijne przez katolicką prasę, która liczy 35 dzienników i dwa razy tyle tygodników i innych czasopism, a wśród niej wiele młodzieżowych. W organizacjach jest młodzież holenderska karna, ofiarna i bardzo pracowita. To też związek jej, zrzeszony w Katolickiej Centrali Związków Młodzieży w Hadze, liczący 200.000 członków na 3 miliony wszystkich katolików w tym kraju, należy do najżywotniejszych. W zetknięciu się zaś z organizacjami o podłożu niekatolickim lub bezwyznaniowym, co ma miejsce w szczególności w Związku Harcerstwa, gdzie występuje oddzielnie Harcerstwo katolickie, protestanckie i bezwyznaniowe, katolicki światopogląd staje się dominującym przez zdrową fizycznie i moralnie młodzież katolicką. Z żalem też może muszą stwierdzić innowiercy, czy bezwyznaniowcy, piastujący naczelne stanowiska w międzynarodowych władzach harcerskich, że »katolicyzm przeniknął u nich na wskróś dzisiejsze harcerstwo« i katoliccy skauci są najlepsi (słowa admirała Rabonnet). Powyższe słowa odnoszą się także do harcerstwa Belgii, Francji, Szwajcarii i innych zachodnich państw.

W wywiadzie moim z księżmi holenderskimi starałem się dociec tajemnicy powodzenia w życiu religijnym ich młodzieży. Odpowiadano mi, że młodzież bierze przykład od starszego społeczeństwa, które odznacza się stanowczością w życiu religijnym (życie rodzinne, poszanowanie własności, uczciwość, pracowitość, praktyki religijne) i zmysłem organizacyjnym, gdyż wszyscy katolicy są tam zorganizowani. Nadto zwrócono uwagę na stosowanie elitaryzmu w stowarzyszeniach. Chłopców wybitniejszych zaprzęga się do współpracy w organizacjach. Mają więc w swoich stowarzyszeniach dziesiętników, szóstkowych i innych, i niosą mu wydatną pomoc na wzór za-

stępowych w skautingu, którzy podlegają zarządowi stowarzyszenia.

Właśnie zetknąłem się z takim dziesiętnikiem katolickiej organizacji zbliżonej do naszej Sodalicji (Gral-Verein). Przybył ze swoją grupą na zwiedzenie terenu zlotu. Przedstawił się kim jest, widząc księdza katolickiego. Prosił o informacje o Polsce, o jej młodzieży katolickiej, czy dużo jej jest, do jakich należy organizacji. Słyszał już nieco o Polsce i ma nadzieję kiedyś do Polski przyjechać, bo ojciec jego handluje z Polakami. Pokazał mi następnie swoją legitymację członkowską i był z niej dumny. Miał tam bowiem zanotowane już sprawności religijne aż trzech stopni, a więc ministranta, chórzysty i misjonarza. Pytam go następnie, jak te stopnie zdobywał, a zwłaszcza na chórzystę i misjonarza? Odpowiada, że jako chórzysta wyuczył swoich chłopców kilku pieśni i odśpiewał je z nimi na zebraniu. Chodzi też do kościoła na nabożeństwa razem z nimi i bierze udział w śpiewie z innymi ludźmi. Zaś jako misjonarz, czyta pisma misyjne, składa datki na misje i sporządził dla misjonarza pulpit na mszał.

Z wywiadu też dowiedziałem się, że szkolenie współpracowników, czyli elity młodego pokolenia odbywa się tam bądź przygodnie przez częste obcowanie księdza dyrektora z młodym adeptem (jak u nas w konsultach), wybieranym najczęściej spośród ministrantów, bądź też przez kursy.

Z powyższego jasno widać, że księża moderatorzy, kierujący organizacjami młodzieży w Holandii wpłynęli na głębię życia religijnego, głównie dzięki swemu należytemu przygotowaniu do pracy i dzięki pomocy wyszkolonych współpracowników, którzy w znacznej liczbie częściej komunikują a nawet jak słyszeliśmy codziennie. Nie twierdzę oczywiście przy tym, ażeby ta młodzież nie posiadała braków w swym religijnym życiu. Idealnej bowiem w jej wieku w pełnym tego słowa znaczeniu nie ma.

W naszych organizacjach młodzieżowych posiadamy dobry materiał, lecz niewyszkolony. Z uznaniem wyrażają się o naszej młodzieży obcy. Podkreślają, że jest zdolna, delikatna w obejściu, zapalna i rycerska. Uczą się też od niej karności życia wojskowego i zazdroszczą jej pomysłowości w imprezach na międzynarodowych występach.

Brak jej jednak, jeśli nie wszystkim, to znacznej większości, głębin życia religijno-moralnego. W tej dziedzinie jest ona więcej powierzchowna, więcej sentymentalna niż realna, wykazująca wiele rozbieżności między bogatą tradycją a życiem codziennym. Na międzynarodowym zlocie harcerskim starszego harcerstwa w Sztokholmie było go z państw katolickich prawie dwa tysiące. W pierwszy piątek miesiąca jest na zlotach zwyczaj przyjmowania Komunii świętej. Przy Stole Pańskim widziało się wtedy wielu Francuzów, Belgijczyków, Szwajcarów i innych, a najmniej, bo zaledwie kilku Polaków. Fakt ten wywołał wielkie zdziwienie u Naczelnego Kapelana Skautów francuskich ks. Forestier. Gdzież ten, prawił on, przysłowiowy polski katolicyzm, przodujący w życiu religijnym. Musiałem mu tłumaczyć, że uczestnicy wyprawy polskiej do Szwecji pochodzą z różnych ośrodków Polski, nie występują tu więc jako zwarta organizacja młodzieżowa, zwłaszcza katolicka, że nie byli wczas o nabożeństwie powiadomieni, mimo to jednak moje wyjaśnienia go nie przekonały.

Z wyżej naprowadzonych wywodów i porównań między wynikami pracy w naszych organizacjach katolickich a wspomnianych zagranicznych państw zachodnich, jasno wynika, że czegoś nam nie dostaje, bo i naszych sodalisów śmiem to powiedzieć przewyższają w religijności nawet katoliccy harcerze państw zachodnich. Śmiało bowiem można ich nazwać sodalisami, stosującymi metody harcerskie w swym wychowaniu.

Dalekim jestem od wprowadzania metod harcerskich do Sodalicji, byłbym jednak za tym, ażeby większy nacisk położyć na wyszkolenie organizacyjne jej członków, na pogłębienie świadomości naszych celów wychowawczych, na ożywienie myśli katolickiej w naszych szeregach przez wprzągnięcie do pracy wychowawczej nawet w najmniejszych komórkach uświadomionych i uspołecznionych sodalisów. Naszej mocnej idei dać podbudowę w mocnej organizacji.

Skąd jednak wziąć przodowników wśród sodalisów? Materiał na elitę wszędzie się znajdzie. Trzeba go tylko drogą kontaktu osobistego lub kursów na modłę sodalicyjną przerobić. I jeden i drugi rodzaj jest dobry. Wpływ jednak osobisty ks. moderatora działa wolniej choć może skuteczniej, kursy zaś jako praca zbiorowa są bardziej urozmaicone i obfitują w wiele prze-

żyć, które zapisują się głęboko w duszy młodego człowieka. W ten sposób zapobiegają one ulatnianiu się z pamięci tego wszystkiego, co usłyszał w czasie referatów.

W tym miejscu przechodzę do właściwego tematu mojego referatu. Jak mianowicie urządzać należy kursy przeszkolenia dla sodalisów, którymi chcemy się posłużyć w naszej pracy wychowawczej w Sodalicjach?

Były u nas próby takich kursów, nawet dość udatne, jak nam donosił nasz miesięcznik. Sądzę jednak, że i moje uwagi i doświadczenia z osobistych przeżyć posuną sprawę ich o krok naprzód a przynajmniej staną się przedmiotem dyskusji.

Czym najpierw takie kursy dla naszej młodzieży być nie powinny? Nie mogą więc być rekolekcjami zamkniętymi czy otwartymi i w tym względzie nie zgadzam się z ks. Prezesem, który w ostatnim numerze *Pod znakiem Maryi* tak je nazwał. Chłopiec musi tu mieć więcej swobody i mieć oczy na wszystko otwarte, co połączone jest z jego przeszkoleniem. Kurs przeszkoleniowy nie może być dalej suchym wykładem z dyskusją, jakby miniatura naszego obecnego trzydniowego zjazdu. Nie może być następnie metodą szkolną prowadzony, gdyż rzeczą naszą w organizacjach młodzieżowych jest nie tyle uczyć, ile dawać okazje do przeżyć, które mają wywołać wzniosły nastrój i pobudzić wolę do zbawiennych nadprzyrodzonych czynów.

Z tego łatwo wysnuć, że w czasie kursu powinna istnieć atmosfera rodzinna tak między samymi kursistami, jak też między nimi a ich kierownikami. Wspólny więc dach nad głową wspólny stół, wspólna modlitwa, Msza święta, spowiedź i Komunia święta; następnie przechadzka, wycieczka czy pielgrzymka winny znaleźć w programie kursu odpowiednie zastosowanie.

Łatwo z tego zauważyć, że miejscem kursu nie może być duże miasto, pozbawione wolnej przestrzeni, słońca, powietrza i zieleni, a przede wszystkim spokoju. Najlepiej tu nadaje się miejscowość pięknie położona, posiadająca odpowiedni kościół, jakieś zabytki, religijną ludność, gdzie istnieją i należycie rozwijają się organizacje katolickie tak religijne jak i świeckie o charakterze katolickim. Dobrze by też było gdyby w pobliżu był jakiś ośrodek przemysłowy i żeby miejsce było łatwo ze

wszystkich stron dostępne tak dla komunikacji kolejowej jak też autobusowej.

Skorośmy już uprzytomnili sobie czym kurs przeszkolenia dla sodalisów być nie powinien i gdzie mu wyznaczyć miejsce najwłaściwsze, przejdźmy z kolei do omówienia jego programu, przynajmniej w ogólnych jego ramach.

Obejmuje on, naszym zdaniem, część teoretyczną i praktyczną tj. niedługie, a barwne pogadanki z dyskusjami i przeżycia. W części teoretycznej, przeplatanej praktyczną wystąpią wykładowcy, z następującymi tematami: 1) Młody katolik a współczesne położenie Kościoła w Polsce, 2) Sodalicja Mariańska w swym historycznym pochodzie poprzez dzieje Kościoła, 3) Obrazki świętych postaci, które wyszły z szeregów sodalicyjnych, 4) Omówienie statutu Sodalicji Mariańskiej, 4) Literatura sodalicyjna, 5) Najpiękniejsze książki dla młodzieży wraz z krótką bibliografią, 6) Przegląd organizacji młodzieżowych w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem katolickich, pokrewnych Sodalicji, 7) Przegląd prasy młodzieżowej katolickiej. Byłyby to może najważniejsze tematy z grupy sodalicyjno-ideowo-historycznej.

W grupie drugiej administracyjno-organizacyjnej znalazłyby się pouczenia o prowadzeniu ksiąg sodalicyjnych w oparciu o księgę podręczną oraz obowiązki (funkcje) poszczególnych członków Konsulty. Należałoby też tu w osobnej pogadance uwydatnić znaczenie organizacji w czasach panującego dziś totalizmu w oświetleniu katolickim.

W grupie trzeciej tematów części teoretycznej trzeba zwrócić uwagę na właściwości psychiczne pierwszej gałęzi Sodalicji Mariańskiej, to jest Kółka Mariańskiego, a więc młodzieży w wieku od lat 11 do 15, oraz drugiej gałęzi, czyli właściwych sodalisów, od lat 15 do 18. W świetle tych pogadanek poznają oni siebie dokładniej i będą również wiedzieli, zwłaszcza nasi przyszli współpracownicy, jak do swych kolegów zwłaszcza młodszych mają podchodzić, by na nich korzystny wpływ wywierać. Pogadanki trzeciej grupy byłyby pewnego rodzaju pouczeniami o sodalicyjnym »savoir-vivre«.

W związku z omawianymi tematami dobrze by było wyznaczyć dla kursistów pewne książki do przeczytania, które by się miało pod ręką.

W części zaś drugiej, praktycznej będą, jak już wspomniałem w programie naszych kursów, przeżycia. Cóż na nie się złoży? Wspólne modlitwy i śpiewy przy rannym i wieczornym pacierzu, wspólna Msza św., spowiedź i Komunia św., możliwie kilkurazowa w czasie trwania kursu; dalej przyrzeczenia sodalicyjne, złożone przynajmniej przez kilku kursistów. Następnie wspólne modlitwy przed każdym jedzeniem i po jedzeniu. Wieczorem zaś wspólne krótkie nabożeństwo połączone z błogosławieństwem Najśw. Sakramentem. Zamknie w końcu dzień każdy wieczornica sodalicyjna, w części pierwszej poważna, na którą złożą się śpiewy religijne i narodowe, a zakończy część pierwszą pogadanka jednego z kursistów na tematy aktualne religijno-społeczne, wraz z dyskusją. Potem nastąpi część wesoła, którą wypełnią odpowiednie śpiewy, monologi, pokazy itp. Przed rozejściem się odmówią wspólną modlitwę i udadzą się na spoczynek.

Z innych przeżyć będzie udział w zebraniu miejscowych organizacyj katolickich, młodzieżowych, w których zdolniejsi kursiści wystąpią jako prelegenci na tematy, podane im przez kierownika kursu. Uczestniczyć zaś będą w takim zebraniu, wzorowo poprowadzonym, jakby lekcji przykładowej.

Mogą też wziąć udział w uroczystym nabożeństwie parafialnym, w którym będą razem z ludem śpiewać, iść zwartą grupą w procesji i z nim się komunikować. Jako młodzież z miasta wywrze takim postępowaniem dodatni wpływ na swych kolegów wiejskich lub małomiasteczkowych.

Innym razem udadzą się na wycieczkę do miejsc zabytkowych, czy słynnych z jakichś wydarzeń historycznych lub do ośrodków przemysłowych. Zetkną się także z miejscowym ludem, by poznać jego dolę i niedolę, jego zwyczaje i kulturę, jak mieszka, ubiera się i gospodarstwo swe prowadzi. Nie pominą także wiejskich warsztatów przemysłowych, by zapoznać się z ich twórczością.

Każdy dzień pobytu na kursie będzie ujęty w ramy ściśle określonego programu, od którego nikt wyłamywać się nie może. Głos dzwonka będzie regulatorem całego dnia.

Więcej jeszcze hartu przyda im posługiwanie sobie wzajemne według dyżuru w utrzymywaniu w porządku swej kwa-

tery. Sami więc będą zamiatać, słać łóżka, czyścić ubranie i obuwie.

Wreszcie zakończy się kurs egzaminem, nie metodą szkolną, jeno dyskusyjną. Dotyczyć zaś będzie całości przedmiotów kursu, wraz z wypracowaniem piśmiennym na dwa różne tematy, oraz sprawności praktycznych w wygłaszaniu pogadanek, uczestniczeniu w dyskusji i prowadzeniu zebrania stowarzyszenia.

Po egzaminie otrzymuje każdy dyplom złożonego egzaminu, podpisany przez kierownika i egzaminatorów, uprawniający go do piastowania urzędów w swej Sodalicji. Z tego też wynika, że wysyłać należy na kurs przyszłych wodzów młodzieży.

Czas trwania kursu przy uwzględnieniu powyższego programu obliczony jest na sześć dni pełnych. Razem z kosztami podróży wyniesie on około 20 zł, przyjmując, że kurs taki odbywa się dla sodalisów jednej diecezji i na jej terenie i że korzystają oni przy tym z ulg w przejazdach koleją.

Kto ma się zająć organizacją opisanego wyżej kursu i dla kogo w szczególności winien być urządzany?

Oczywiście ks. moderator diecezjalny dla delegatów wszystkich Sodalicji na terenie diecezji, tak dla młodzieży żeńskiej, jak i męskiej. Jemu bowiem najłatwiej o dobór prelegentów, wybór miejsca i inne środki techniczne. Z uwagi na to, że ilość miejsc na kursie może być ograniczona, wysyłają poszczególne Sodalicje na taki kurs po kilku tylko sodalisów, których jak już wspomniano uważają za najwartościowszych i najpożyteczniejszych dla towarzystwa.

W ciągu roku powinny odbyć się w każdej diecezji przynajmniej dwa takie kursy, jeden na początku wakacyj, drugi w zimie w czasie feryj Bożego Narodzenia, co da możność coraz większego zasilania naszych Sodalicji przeszkolonymi sodalisami.

Na odcinku zaś każdej Sodalicji, przy pomocy wykwalifikowanych już sodalisów można będzie urządzać także pewne kursy, wzorowane w pewnej mierze na ogólnych diecezjalnych i z czasem doprowadzi się do tego stanu w naszej organizacji, że w ogóle nie dopuścimy nikogo do przyrzeczeń, jeśli nie przejdzie przez kurs w swojej szkole i nie zda żądanego egzaminu.

Wtedy przerzedzą się wprawdzie szeregi naszych członków, ale też lepszą będzie miał z nich korzyść Kościół i Ojczyzna. Mniej będzie zakłamania u naszych wychowanków na tle ich życia religijnego, które w czasach dzisiejszych stało się ogólną plagą naszego społeczeństwa w Polsce.

Wypłyniemy wtedy także przy Bożej pomocy i Patronki naszej Najśw. Panny Maryi pośrednictwem na głębiny życia religijnego w naszym Związku. Częsta Komunia święta będzie także wśród naszej młodzieży powszechnym zjawiskiem i przyczyni się do wyniesienia jej na wyższy poziom życia moralnego, a przez nią przyczyni się do rozszerzenia się światopoglądu katolickiego także na tę młodzież polską, która szuka poza Kościołem katolickim zbawienia dla naszej Ojczyzny.

Gdy dziś sodalis Maryi, św. Andrzej Bobola zajaśniał na firmamencie Kościoła w Polsce jako Święty, przystąpmy w tej wielkiej dla narodu polskiego chwili do przewartościowania naszych Sodalicyj, łącząc za jego pośrednictwem korne modły do Boga, by błogosławił naszej pracy.

Ks. dr Józef Dajczak.
(Lwów)

Eucharystia w życiu Sodalicji na tle ascetycznych dążeń młodzieży.

Referat wygłoszony na Kursie Księży Moderatorów.

Dla skutecznego oddziaływania na młodzież sodalicyjną nie wystarczy poznać jej psychikę jak również jej właściwości nieoddzielne od jej stopniowego fizycznego wzrostu i rozwoju. Koniecznym jest również wczuć się w atmosferę, w której młodzież żyje, z której czerpie swoje doświadczenie i pod wpływem której urabia swoje charaktery. Z tego względu poświęćmy trochę uwagi prądom, nurtującym i nadającym bieg współczesnemu życiu.

Żyjemy w czasach »totalizmu«. I kryzys współczesny także jest totalny, czyli wszechstronny, a to dlatego, że obejmuje on każdą dziedzinę życia, nie wyłączając religijno-moralnej. Zjawisko to nie jest nowe. Już od czasów tzw. odrodzenia, czyli z górą od czterech wieków, europejskie społeczności ludzkie zaczęły dążyć w kierunku stopniowego odchrześcijanienia i laicyzacji. Zapragnęły te społeczności iść o własnych siłach bez uciekania się do pomocy wskazań Chrystusowych i bez korzystania z pomocy sił nadprzyrodzonych, pozostawionych przez Chrystusa. Historia zwłaszcza ubiegłego stulecia sprowadza się w dużej mierze do wysiłków, podejmowanych w celu systematycznego usuwania wpływów Kościoła na życie społeczności. Znów obecnie chodzi już nie o poszczególne dogmaty wiary, jak to bywało za czasów herezji i schizm, lecz kwestionowana jest sama wartość chrześcijaństwa, a zwłaszcza jego przydatność i zdolność do rozwiązywania zagadnień ziemskich, w pierwszym rzędzie gospodarczych i socjalnych. »Niektórzy twierdzą — tak pisał Leon XIII — że sprawy społeczne to tylko sprawy gospodarcze. Nie jest to prawdą, bo na dnie każdego zagadnienia tkwi moralność i religia. Bieg wypadków potwierdził te wskazania w całej rozciągłości i wykazał, że troska o dobro bliźnich, rzetelność w interesach, posłuszeństwo i poszanowanie prawa, należna dyscyplina obyczajów są niemniej ważne od wymogów ekonomii. W następstwie bowiem rugowania religii z dziedziny gospodarczej oraz ze zbiorowego życia społeczeństw coraz bardziej rozluźniały się w szerokich warstwach zasady moralne«. A gdy do tego jeszcze doszły mechanizacja pracy, nieuczciwe posługiwanie się pieniądzem oraz gdy na skutek wojny i postępów techniki poprzesuwały się i pozmieniały dotychczasowe ośrodki i drogi napływania surowców i ich fabrykacji, porządek społeczny został podważony ostatecznie i nastał totalny kryzys gospodarczy.

Wytworzonemu stanowi rzeczy starano się przeciwstawić i zapobiec przez układy i prawa. Ale co osiągnęła ludzkość, że narzuciła sobie pojęcia prawne, rozwinięte na pogańskim światopoglądzie Rzymian, które drwią często z moralności i obowiązków chrześcijańskiej miłości bliźniego? Przyszedł socjalizm i jego odmiany, usiłujące zburzyć zły porządek rzeczy, ale działający również sposobami materialistycznymi. Rezulta-

ty tych wysiłków aż nadto są znane. Namacalnie stwierdzają one jednak trafność przypomnienia papieskiego, że na dnie każdej sprawy ludzkiej tkwią zagadnienia moralne i religijne. I nie może być inaczej. Wszak przez Boga jesteśmy stworzeni, a na swój obraz i podobieństwo uczynił On nas. Właściwy zatem rozwój ziemskiego bytowania ludzkiego wymaga obecności w nim Ducha Bożego. Duch Boży unosić się ma, jak ongiś w zaraniu dziejów nad naszym działaniem. Jego słowo ma je ożywiać, a owoce odkupienia Zbawicielowego odnowić mają każdą dziedzinę życia ludzkiego na równi z uchrystusowieniem duszy każdego poszczególnego człowieka.

Zrealizowaniu wysuniętych zasad nie byle jakie trudności stwarza natura ludzka. Jakież to trudności? Przede wszystkim umysł ludzki, mając skłonność do uproszczeń szuka klucza, którym by za jednym przekręceniem można wszystko otworzyć. Nerwowość znów i lęk przed niewiadomym groźnym jutrem pcha do szukania rozwiązań decydujących i szybkich. W następstwie dzieje się to, że ilu katolików, tyle się stwarza kierunków katolickich, a zamiast niezłomnego przeświadczenia, że tylko nauka Chrystusowa jest prawdą, zjawiają się subiektywne rozumowania tej prawdy. Przez to znów katolicka myśl społeczna nie może wyjść z bezwładu i przejść do ofensywy. Zastępują ją nieraz zewnętrzne uroczystości, manifestacje, protesty, zewnętrzny efekt, ruch i szum. Nie znaczy to, by wszystko to było niepotrzebne. Owszem, budzi to nieraz i zachęca do pracy, ale tylko doraźnie. Przez te praktyki bowiem, egoizmy wszelakie, wady i słabości z placu nie ustąpią. Jasnym jest z tego, że odmianę świata katolicyzm musi rozpocząć od doskonalenia się wewnętrznego jednostek. Na tym przeobrażeniu wewnętrznym opiera on również ideologię i przemiany społeczne, jako że wchodzą one w życie z ludźmi i przez ludzi.

Musimy najpierw sami tę ideologię poznać. Często się mówi o encyklikach społecznych. A kto je przeczytał, a ilu poważnie je przestudiowało?! Można powtarzać i domagać się w ślad za encyklikami panowania sprawiedliwości społecznej. Można się oburzać na kapitalistów i piorunować na nadużycia. Czy jednak nie będzie rzeczowiej zastanowić się nad własnymi czynami, no i pilnować sprawiedliwości przede wszystkim we własnym życiu. Chętnie podkreślamy te wskazania Kościoła, które

dla nas i to materialnie są korzystne. Ale czy wtedy nie osobisty interes przemawia przez nas, powoływanie się zaś na religię staje się płaszczykiem. Walka z osobistymi intencjami nigdy nie była i nie będzie dla człowieka łatwą. Dziś staje się ona jeszcze bardziej trudną. Inflacja wzniosłych haseł, atmosfera patriotyzmu na pokaz, zewnętrzna moralność, ckliwa religijność, to tylko nieodstępni ale i potężni sojusznicy zakłamania.

Otóż kamieniem węgielnym naszego budowania sodalicyjnego musi być uczciwość i rzetelność. Uczciwie i rzetelnie mamy zgłębiać i przyswajać sobie wskazania Zbawicielowe. Uczciwie i rzetelnie mamy te wskazania urzeczywistniać, rozpoczynając każdy od siebie i od naszych organizacji. Inne środki i metody mogą dawać pozory rozwoju i postępu. Będzie to jednak postęp sztuczny i na glinianych chodzący nogach.

Wyłuszczone uwagi nie stanowią bynajmniej nowości, ale mają one przypomnieć, żebyśmy my — moderatorzy tym goręcej te sprawy naszym Sodalicjom przypominali swoim słowem i przykładem. Czyniliśmy to już z pewnością niejednokrotnie. Z pojętych jednak wysiłków wiemy na jaki opór napotyka realizowanie najświętszych nawet pragnień. Cóż zatem począć?

Pedagogika świecka wytwarza całe systemy i mozoli się od dawna, jakby przekuć tę miękką bryłę wosku, jaką jest dusza ludzka na spiż mocny i odporny na wszelkie niepożądane wpływy. I Kościół również biedzi się nad tym zagadnieniem. W jaki sposób? Ukazuje on Chrystusa w Eucharystii i przypomina słowa Mistrza wzywającego wszystkich do siebie: *Chodźcie do Mnie... uczcie się ode mnie... naśladujcie Mnie...* Prowadzi młodzież do stóp tabernakulum i wskazuje jej lampkę płonącą przed ołtarzem i powiada do niej: »Patrz, oto tam pod nikłą postacią chleba twój Wzór, Nauczyciel, Ojciec, Pan i Przyjaciel. On tam przebywa, — tam każdej chwili możesz go znaleźć żywego i prawdziwego... Ta wiecznie płonąca lampka jest symbolem ustawicznego czuwania niegasnącej miłości Jego ku nam. Z miłości zamieszkał w tabernakulum i tam na każdego oczekuje. Stamtąd rozlega się Jego zachęta: *Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje.* Od chwili, gdy słowa te rozbrzmiały, upłynęło dziewiętnaście wieków. A przecież nic nie straciły one przez ten czas na swojej mocy i znaczeniu.

Dlaczego Chrystus w ten sposób mówi? Po co zostawia samego siebie? Czy po to, by się gorszono z Niego, jak ongiś uczynili to żydzi w Kafarnaum, — by zaprzeczano ze sceptycznym uśmiechem Jego obecności w Eucharystii? Nie, na pewno nie. Celem, dla którego Jezus, mądrość odwieczna, wybrał ten sposób pozostawania z nami, była chęć przyjścia człowiekowi z pomocą i podanie mu zbawiennej dłoni: *Nie zostawię was sierotami...* Chrystus z całą stanowczością i naciskiem podkreślił znaczenie Eucharystii i jej potrzebę: *Mieszkajcie we Mnie, a Ja w was.* I żeby nie było nieporozumień, jak pojmował On to »mieszkanie«, wyjaśnił: *Kto pożywa Mego ciała i pije moją krew, we Mnie mieszka, a Ja w nim.* Sam zatem stwierdził, ponad wszelką wątpliwość, że współżycie z Nim w Eucharystii jest koniecznym warunkiem do pełnego i owocnego życia: *Kto mieszka we Mnie, a Ja w nim, ten wiele owoców przynosi, — bo beze mnie nic uczynić nie możecie... Pójdźcie do mnie wszyscy* na ucztę, jaką daje prawda odwieczna, Boże dobro i niestworzone piękno. Nie wezwał na tę ucztę jakiejś wyjątkowej tylko grupy ludzi. Przeciwnie, nikomu nie stawiał granic, nie określał wieku, słowem, powołał wszystkich do współżycia ze sobą. Nie dziw przeto, że z zasiłku tej uczty zaczerpnęli swą moc Stanisławowie, Alojzowie, Berchmansowie, Ferriniowie... Agnieszki, Cecylie, Katarzyny, Kunegundy, Jadwigi, Teresy... Z tego samego co i nasza obecna młodzież »prochu ziemi« zostali oni wszyscy uczynieni. Ten sam Stwórca tchnął w nich dusze nieśmiertelne. A jeżeli oni i one potrafili wzbić się tak wysoko, dlaczego nasza młodzież nie miałaby korzystać z tego źródła »wytryskującego na żywot wieczny«? Dlaczego ma brodzić w ciemnościach błędów, zamiast stąpać promienną drogą Jego wskazań? Jezus przyjęty w Eucharystii podniesie i uszlachetni jej uczucia, rozjaśni rozumienie, a chcenia ku dobremu skieruje.

Chrystus, zjednoczony z młodzieżą, uwypukli ten obraz i podobieństwo do Boga, jakie Stwórca wycisnął na duszy każdego z niej. On również wydźwignie każdego na wierzch z tego zamętu i widowiska, jakie wytwarzają w człowieku codzienne sprawy i kłopoty, przelotne upodobania, nastroje, humory, stan zdrowia... On — Chrystus tak ją uskrzydlić potrafi, że istoty duchowo czasami ciasne, płytkie w uczuciach, mierne

a może nawet przyziemne w dążeniach, przetworzy w dzieci Boże.

Młodzież z Chrystusem Eucharystycznym zespolona, lepiej i łatwiej zrozumie ludzi ze swego otoczenia. Sama doznawszy od Niego odpuszczenia własnych błędów, uzyskawszy pomoc Jego łaski dla ich pokonania, czyż nie będzie wyrozumialsza na różne niedociągnięcia swego otoczenia?! Chyba nawet dopomagać będzie innym do zwalczania i zastępowania złego dobrem. Tak przecież wymownie brzmi zachęta Zbawiciela: *Synaczkowie moi, miłujcie się nawzajem, albowiem po tym poznają żeście uczniami Moimi, jeśli jeden ku drugiemu miłość mieć będziecie.* Dobroć Eucharystycznego Chrystusa to sprawi w młodzieży, że i jej samej będzie dobrze z Nim i innym z nią będzie dobrze, zarówno w domu jak w szkole, jak wszędzie indziej. I nie podobna by było inaczej. Boć Chrystus — Światłość świata — przez Eucharystię oświecił dusze młodzieży. Tej światłości sodalisi i sodaliski nasze promykami niech będą...

Tak, promykami! Bo tak dużo szarzyzny, przeciętności, przyziemności... Tak zewsząd jeszcze wygląda materialistyczny pogląd na świat i na życie, choć tak dawno już żądał Chrystus szukania najpierw Bożego królestwa i jego sprawiedliwości. Tak wyłączną jest nieraz pogoń za doczesnością, a brak zastanowienia, że doczesność nie stanowi wszystkiego. Tak często lekceważy się lub omija wieczność. A przecież upominał Pan Jezus: *Cóż pomoże człowiekowi, choćby świat cały zyskał, jeżeli na duszy swej szkodę poniósł.*

Wiele z tych kursujących rozumowań i poglądów obija się o uszy naszej młodzieży i zapada do jej świadomości. I w niej samej bynajmniej nie wszystko jest jasne, wzniosłe, bezkompromisowe... Ileż to już razy wypadło jej kornie wołać: *Boże, bądź miłościw mnie, grzesznemu...*

Przypominajmy więc młodzieży, że współżycie z Chrystusem Eucharystycznym nie tylko czyni znośniejszym dla każdego z nas życie doczesne, cielesne, nie tylko pomnaża w nas skarby duchowe, ale daje nam niewzruszoną podstawę, na której opiera się cała istność człowieka: daje wiarę. Jakkolwiek bowiem ta ostatnia jest darem nadprzyrodzonym, użyczanym przez Boga każdemu, to jednak Eucharystia potęguje ją w sposób niezwykły i sobie tylko właściwy. Zresztą samo obcowanie

z Chrystusem w Eucharystii odbywać się może przede wszystkim w atmosferze gorącej i płomiennej wiary. Nigdzie może nie trzeba jej tyle, ile właśnie u stóp tabernakulum. Tutaj jej światło zastępuje całkowicie doznanie zmysłów i rozeznanie umysłu. Wiara ta wzmaga się i potęguje w miarę zbliżania duszy ludzkiej do Jezusa, zbliżania mogącego dojść do tego stopnia, o którym powiedział św. Paweł: *Już nie ja żyję, ale żyje we mnie Chrystus.*

Dzieje zarania chrześcijaństwa są aż nadto oczywistym dowodem, co może człowiek ożywiony wiarą w Chrystusa. Kościół był wtedy społecznością młodą, potęga ówczesnego cesarstwa rzymskiego czerpała swe siły z wiekowych zdobyczy kultury całej ludzkości i miała do rozporządzenia wszystkie zasoby materialne. A jednak ci słabi, malutcy i nieuczeni podbili świat, a tamci ze swą wiedzą, cywilizacją, potęgą i siłą musieli ustąpić. Któż to sprawił? Kto tym przez ówczesny świat wzgardzonym i za szalonych poczytywanym ludziom dał tyle mocy, tyle jasności umysłu, tyle przekonania w słuszność swojej sprawy? Jezus Eucharystyczny! Toć wyraźnie stwierdzają Dzieje Apostolskie o pierwszych chrześcijanach, że trwali oni w modlitwie i w »łamaniu chleba«.

Chrystus jest ten sam »dzisiaj«, jak był »wczoraj« przyjmowany przez pierwszych chrześcijan. Zatem sodaliski i sodalisi zjednoczeni z Chrystusem Eucharystycznym mogą się stawać i mogą być wysłannikami-promykami Jego cudownej Bożej sprawy i radosnej nowiny w miarę jak się przenikać będą Jego obecnością i przeistaczać w Jego ducha.

Jakież są tego ducha Chrystusowego cechy i objawy? Wpatrzmy się w Eucharystię. Oto Chrystus-Bóg, którego ziemia i niebo ogarnąć nie mogą dobrowolnie zamknięty w nikłym śnieżno-białym opłatku. Dokoła cisza i spokój, jakby Go nie było. Cały swój majestat zasłonił przed nami, by nas nie onieśmielać: *Uczcie się ode mnie, żem jest cichy i pokornego serca.*

Jakież to wymowne zachowanie i pouczenie wobec egoizmu, który każe człowiekowi stawiać na pierwszym planie samego siebie. Tak często człowiek pragnie być sam sobie przystanią, okrętem i sternikiem. Ze swojej osoby pragnie on uczynić oś, dokoła której obracać się winien cały porządek rzeczy. A oto Chrystus Eucharystyczny daje się nam cały przez swą

pokorę, poświęcenie, zaparcie siebie samego, a to w tym celu, by nas dźwignąć aż ku niebu na wiekuistość całą.

Jakaż to nieodparta nauka dla młodzieży, by ciężary drugich chętnie i cierpliwie niosła, by promieniowała pokorą, uprzytamniając sobie, że cichość Chrystusowa i Jego pokora, to najwyższy stopień mocy i dzielności, na jakie człowiek zdobyć się potrafi. Tylko przez nie ludzka słabość w niezłomność się przeistoczy, smutek i łzy staną się radością, przez nie blaskiem wiekuistości zapłonie doczesność, a człowiek »proch i nic« z Bogiem może gadać.

Podczas oblężenia Częstochowy przez Szwedów urządzał ks. Kordecki po wałach procesję, obnosząc Najświętszy Sakrament po miejscach najbardziej niebezpiecznych i przez wroga zagrożonych. Niektóre z osób tam obecnych miały widzieć Najświętszą Pannę, jak płaszczem swoim otulała klasztor, odtrącała kule i gasiła pożar...

My, księża moderatorzy, kiedy się rozjedziemy po całej Polsce, bądźmy złączeni nie tylko wspólnymi ideami, hasłami, dążeniami, ale przede wszystkim zespalajmy się w jedną całość wnoszeniem Chrystusa Eucharystycznego w najbardziej zagrożone szańce duszy młodzieży. A Chrystus i przez nas będzie tam dokonywał przemożne sprawy swoje.

Ks. dr Wiktor Rostkowski.
(Warszawa).

ZE ŚWIATA KSIĄŻEK

R. Guardini: *Znaki święte*. Przełożył z niemieckiego J. Birkenmajer. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, str. 97. Zł. 1,50.

Przy rosnącym zainteresowaniu się liturgią bardzo na czasie ukazało się powyższe dziełko. Nie chodzi w nim o historię ani teorię znaków (czynności i przedmiotów liturgicznych), ale o ich rzeczywistość i to obecną tj. o wyjaśnienie ich istoty, wykrycie jak gdyby duszy w materialnej ich powłoce i o związanie ich z naszym życiem religijnym takie, żeby pozostając w naszej świadomości utrzymywały je i pogłębiały. W części I przechodzi autor znaki najczęstsze, jak żegnanie się, klęczenie, woda święcona, popiół, kadzidło, w II zajmuje się głównie Mszą św. i kościołem. Skutkiem częstego używania i oglądania znaków liturgicznych jedne mechanizują się, drugie nie wywierają należytego wrażenia, dlatego przeczyta każdy uwagi autora, nieraz niezwykle trafne, i z korzyścią i z zadowoleniem. A już prawie niezbędne jest to dziełko dla osób uczących religii. Język przekładu poprawny i bogaty.

Ks. K. Dąbrowski T. J.

J. Bandrowski: ***Szkarłatna Róża Raju Boskiego***, Świątobliwy ks. Wojciech Męciński. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, str. 96. Zł. 2,—.

Życiorys ten ks. M. (1598—1643), polskiego misjonarza Japonii, zbliża się sposobem ujęcia do życiorysów powieściowych: Pochodził ks. M. z senatorskiej bogatej rodziny. Po śmierci matki (ojca stracił mając 4 lata) wstępuje do zakonu oo. jezuitów w Rzymie, ukończywszy przedtem medycynę (co miało mu oddać niemałe usługi w pracy misjonarskiej). Wcześnie budzi się w nim pragnienie pracy nad nawracaniem Japończyków i śmierci męczeńskiej. Po wielu staraniach dostaje pozwolenie i wyjeżdża do Lizbony, skąd mimo wielu przeszkód, niezrażony trudnościami, dobija przez Goę, Makao, Manilę do Japonii z trzema jezuitami i z trzema świeckimi katechistami. Zaraz po wylądowaniu zostają wszyscy ujęci i osadzeni w więzieniu w Nagasaki, gdzie przez 7 miesięcy pozostawali w śledztwie połączonym z torturami, które skończyło się skazaniem ich na śmierć. Te 7 miesięcy to zarazem czas ich misyjnej pracy, którą prowadzili w rozmowach z japońskimi kapłanami. Autor daje życiorysowi dość szerokie tło, opisując ówczesne stosunki w koloniach, kreśląc krajobrazy wschodu, zajmuje się też i samą pracą misyjną. Będzie to wszystko z pewnością zajmujące dla młodzieży, dla której jest pisane. Wątpię jednak, czy będą dość zrozumiałe ustępy, w których autor przedstawia ni to wizje ni halucyna-

cje ks. M. Jeszcze większe wątpliwości budzić mogą słowa, że ks. M. jak i św. Franciszek Ksawery »nie rozumiał, że Hindusi otrzymali objawienie tak samo jak i inni, a tylko Bóg Jedyny w pryzmacie ich filozofii rozczepił się na pięć milionów bogów i bogiń« (str. 63). Pragnienie męczeństwa, które jest głównym rysem, treścią życia ks. M. nie zostało dostatecznie oświetlone, — płynęło ono z tej pobudki, dla której wielu misjonarzy, gdy praca szła opornie, szukało go i prawie wyzywało. Widzieli bowiem oni w przelaniu krwi nie tylko najwyższy akt miłości dla Chrystusa, ale i użyźnienie jałowej roli, niezawodny posiew nowych chrześcijan, który następcy mieli z weselem zbierać i gromadzić w Kościele Bożym. Autor pisze zajmująco, barwnie, umie unikać moralizowania i nasuwać czytelnikowi myśli godne zastanowienia.

Ks. Wilkowski T. J.

P. Villey: *Niewidomy dobroczyńca niewidomych Maurycy de la Sizeranne.* Tłumaczyła z francuskiego W. Zaleska-Kurnatowska. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, str. 200. Zł. 2,50.

Pięćdziesiąt lat mija od założenia Stowarzyszenia im. Valentin Haüly, które opiece, wychowaniu, zatrudnieniu niewidomych i tzw. tyftologii dało w całym można powiedzieć świecie mocniejsze podstawy i warunki pomyślnego rozwoju. Jest ono dziełem M. de la S. (1857—1924), który utraciwszy wzrok w dziesiątym roku życia oddał się niepodzielnie, z zapałem i poświęceniem głęboko wierzącej duszy sprawie niewidomych. Wychowany w Institution Nationale, szkole dla ociemniałych w Paryżu, słucha wykładów w Sorbonie, w Collège de France, czyta wiele i dyskutuje, i na podstawie zdobytej w ten sposób wiedzy a więcej jeszcze osobistego doświadczenia ulepsza dotychczasową pracę nad ociemniałymi. Słowem i pismem budzi i szerzy wśród społeczeństwa myśl o wadze sprawy, prostuje fałszywe pojęcia a czynami posuwa ją krok za krokiem naprzód, w czym wielką pomocą było mu pochodzenie z rodu arystokratycznego i bogatego. Udoskonalenie pisma brajlowskiego, czasopismo dla ociemniałych (redagowane i drukowane przez nich samych), biblioteka, muzeum, zebrania miesięczne, wreszcie patronat — to są wszystko dzieła, które tworzono zwolna i z osobna, ulepszano doświadczeniem, by je w r. 1889 złączyć w Stowarzyszenie. To wszystko Villey opisuje żywo i zajmująco, a niemniej zajmujący jest opis zajęć i życia duchowego ociemniałych, które zwykle fałszywie sobie wyobrażamy i popełniamy błędy w stosunkach z nimi. Przekład na język polski jest staranny i poprawny prócz paru niedociągnięć, z których najbardziej razi »zdać dyplom« (str. 51).

Ks. Roszak T. J.

H. de Heerkelingen: *Izrael, jego przeszłość i przyszłość.* Księgarnia św. Wojciecha 1938, str. 249. Zł. 4,—.

Książka zawiera historię żydów w każdym kraju europejskim. Tłumacz — oboje pp. Czerniawscy — dołożyli historię żydów w Polsce, bardzo obiektywnie a ściśle historycznie przedstawioną. W dalszych rozdzia-

łach omówiono jakie różnice zachodzą między kulturą talmudu i Ewangelii, problemy prozelityzmu i syjonizmu, jakie kryją niebezpieczeństwa i jakie zalety.

Przypisy literatury obfitej ułatwiają orientowanie się i opracowanie dokładniejsze tematów omówionych, jeśliby zachodziła potrzeba. Książka tak, jak leży przed nami, daje doskonały materiał do omawiania kwestii żydowskiej i dlatego jest pożądanym nabytkiem dla bibliotek sodalicyjnych.

Ks. K. Konopka T. J.

K. Wrotny-Klimowiczowa: *Tajemnica Człowieczeństwa.* Studium filozoficzno-religijne. Księg. św. Wojciecha, Poznań, str. 150. Zł. 2,50.

»Tajemnica Człowieczeństwa« — to próba syntetycznego ujęcia tego, co nam nauka i religia mówi o człowieku, o jego naturze i o jego stosunku do Boga. Odwieczny ten problem ludzkości, owo Augustynowe: *Domine, noverim te, noverim me,* zostało przez autorkę przedstawione w sposób w naszej literaturze religijnej nowy, tchnący świeżością i bezpośredniością osobistych przeżyć. Kierownicy Sodalicji Mariańskich znajdą w tej książce dużo materiału, nadającego się do przedyskutowania na zebraniach, bo nie wszystko, co autorka mówi, jest oczywiste i jasne. Odnosi się to w szczególności do wewnętrznej wiedzy duszy, której autorka przypisuje zdolność przeżywania prawd religijnych niezależnie od intelektu. Odnosi się czasem wrażenie, jakby autorka nie dość ściśle odróżniała poznanie Boga przyrodzone ze stworzeń, od poznania Boga nadprzyrodzonego, z objawienia, przez wiarę w słowo Boże objawione; granica między wiarą nadprzyrodzoną a wewnętrznym przeżywaniem prawd religijnych nie jest dość wyraźnie zarysowana.

W całości jednak książka zasługuje na polecenie, jako oryginalna synteza światopoglądu katolickiego.

Ks. dr B. W.

Ks. dr Józef Smoczyński: *Świątobliwy Sługa Boży Stanisław Hozjusz.* Pelplin 1938, str. 54. Gr. 50.

Imię kardynała Hozjusza znane jest w dziejach Kościoła jako wielkiego bojownika o wiarę w czasach reformacji, jako jednego z wybitnych statystów a zrosło się w historii nieodłącznie ze sprowadzeniem jezuitów do Polski. Postać jednak sama świątobliwego męża zatarła się w pamięci ogółu klas wykształconych. Hozjusz był mężem nie tylko czynu, ale wielkiej wybitnej świętości. Episkopat czyni starania o wdrożenie beatyfikacyjnego procesu znakomitego Księcia Kościoła.

Broszura ks. dra Smoczyńskiego przypomina go. Na tle działalności uwypukla się życie duchowe kardynała, jego życie nie w blasku czynów ziemskich, ale wartości wewnętrznej. Autor umiał wydobyć rysy cnoty w źródle życia nadprzyrodzonego. Rzecz napisana ponętnie dla inteligencji. Byłoby dobrze, gdyby się znalazła w każdej sodalicyjnej bibliotece.

Ks. Wład. Rejowicz T. J.

Z BOBOLAŃSKIEJ NIWY.

Ks. Jan Poplatek: *Błogosławiony Andrzej Bobola T. J.* Wydawn. Apostolstwa Modlitwy. Kraków 1936, str. 331, zł. 8,—. — Poważne to naukowe studium profesora historii w Chyrowie stoi u podstaw bobolańskiej nowej literatury. Na nim musi się każdy oprzeć kto pisze o św. Andrzeju i nie prędko wykrycie nowych, nieznanych dokumentów pozwoli coś dodać do pracy historyka, który wydobył wszystko z archiwów i dał pełny obraz wówczas, gdy pisał, jeszcze Błogosławionego. Ale to dzieło i obszerne i drogie nie mogło wystarczyć potrzebom chwili kanonizacji. Celom praktycznym mają więc służyć inne prace.

Ks. Jan Rostworowski T. J. i ks. Wład. Rejowicz T. J. uprzystępnili więc w mniejszych rozmiarach postać świętego w broszurze: *Św. Andrzej Bobola T. J.* Wydawnictwo Księży Jezuitów w Warszawie, 1938, str. 74 z 6 rycinami, groszy 40. — Ks. Rostworowski kreśli na 24 stronach życie świętego, oraz dzieje jego relikwii. Pisze dla inteligencji, więc krótko zaznacza okrucieństwo wyszukanych mąk i opis szerszy cudów. Skupia uwagę na samej osobie i jego dziele. Ks. Rejowicz ujmuje na 25 str. obecne znaczenie dla Polski kanonizacji Świętego na tle historiozoficznym. Artykuł ten był drukowany z małymi zmianami w *Moderatorze*, 1937, w *Miesięczniku Katechetycznym* 1938, i w *Przeglądzie Chyrowskim* 1938. Oba szkice mogą być przydatne do uroczystości, jakie się ku czci wielkiego Patrona Polski odbywają. Broszura zawiera nadto kilka utworów do deklamacji, między nimi bardzo udatny utwór ks. Karyłowskiego T. J. »Uwieńczone dzieło«.

Innym potrzebom pragnie zadośćuczynić ks. Jan Urban T. J. w dziełku *Św. Andrzej Bobola.* Wydawnictwo Księży Jezuitów. Warszawa 1938, str. 77 z 2 rycinami, groszy 30. — Jest to żywocik popularny, dla szerokich warstw przeznaczony, na obszerniejszym tle historycznym i geograficznym skreślony. Zawiera obok dat biograficznych opis cudów i proroctwo o wyzwoleniu Polski, losy relikwii, wreszcie modlitwy i poezje te same, co żywocik poprzednio wspomniany. Nadaje się dobrze do masowego rozpowszechniania, zwłaszcza, że i człowiek inteligentny go z przyjemnością przeczyta.

Ks. St. Kuźnar T. J.: *Św. Andrzej Bobola.* Wyd. Apostolstwa Mod. Kraków 1938, str. 192 z 7 rycinami. Zł. 1,—. — Autor tym dziełkiem wkracza w literaturę młodzieżową. Pisze językiem barwnym, z polotem i obrazowo. W treści zależny jest mocno, aż do wysłowienia miejscami od ks. Poplatka. Zależności jednak od historyka nie rozciąga na zależność od historii. Nie wpływa to wszakże na samą biografię.

Wreszcie artykuł pełen głębokich myśli o Świętym ogłosił w *Przeglądzie Powszechnym* ks. Jan Pawelski T. J. pt.: »Bohater prorok i patron narodu (po kanonizacji św. Andrzeja Boboli).

Ks. Wład. Rejowicz T. J.